Stosunki Wielkiego księcia Witołda do Rusi północno-wschodniej w latach 1425-30.

W zaraniu Witołdowych rządów, w r. 1397, stanął między wielkim księciem Litwy a Tochtamyszem, chanem Kipczaku, układ, którego treścią był podział Europy wschodniej: wszystkie ruskie ziemie przyznane zostały władcy Litwy. Stajemy tu w obec wielkiego planu Witołda supremacyi nad całą Rusią. Przez całe swe długie a świetne panowanie zmierzać będzie do tego. Zmieniać się będą drogi i środki, cel pozostanie ten sam.

Ale na Wschodzie nowe powstawało państwo, które w ciągu XV. wieku już opanować miało olbrzymie obszary i stać się jedną z największych potęg w Europie. Moskwa dążyła do opanowania ruskich ziem, zrazu części, niebawem całości, „wszystkiej ruskiej ziemi“.

Ztąd rywalizacya między Litwą a Moskwą, ztąd jeden z tych zasadniczych konfliktów, które zmierzają do zupełnego zwycięstwa, lub zupełnej zguby jednej ze stron. Karamzin pisze, że „zabezpieczenie zdobyczy litewskich wymagałoby zguby Księstwa Moskiewskiego“ [1]). Ta rywalizacya rozgrywała się głównie na dwóch terenach: na północy o Nowogród i Psków, na wschodzie o sporne ziemie nad Oką i Ugrą. W latach 1405—8 przyszło do orężnego starcia. Pokój w r. 1408 przyniósł Litwie znaczne korzyści: wscho-

[1]) Karamzin: Historya Rossyi, t. V., str. 196.

dnie granice W. Księstwa oparły się o Ugrę i Okę. W latach 1426—8 podejmuje Witołd, mimo podeszłego wieku, nowe zwycięskie wyprawy. Ta żywotność, ta niestrudzona moc budziły podziw i zachwyt, a wśród głoszących u przyjaciół i wrogów, na dalekim Wschodzie i w Neapolu kult w. księcia, odezwał się też głos lęku o los tej duszy, która z niesamowitą siłą żywiołu dążyła do opanowania światów, która znała zwycięstwa, a nie znała spokoju. „Nigdzie nie masz spokoju, nigdzie wytchnienia. Czemuż tak wielka miłość sławy i żądza szerzenia imienia swego tak wydarła cię samemu sobie?“ [1])

Ostatnie lata nowym blaskiem opromieniły postać „wspaniałego starca“. Czemu przypisać te wielkie tryumfy Witołdowej Litwy? Niewątpliwie nie sama tylko orężna przewaga tu rozstrzygała. Może przedewszystkiem działała atrakcyjna siła Jagiellońskiego potężnego państwa, które skupiało i łączyło różne ludy, a pozostawiało każdemu własne życie. Bardzo korzystne były też polityczne warunki. Na te lata przypada małoletniość wielkiego księcia Wasyla Wasylewicza, wnuka Witołda. Od dnia śmierci Wasyla Dymitrowicza, t. j. dnia 27 lutego 1425 r., sprawował Witołd opiekę nad swym wnukiem i córką, wielką księżną Zofią. Byłoby tu niezmiernie interesującem módz oznaczyć zakres tej opieki i rolę wielkiej księżny Zofii, która — jak przypuszcza Karamzin — była pośredniczką między ojcem a mężem w sprawie oddania wielkiemu księciu Litwy opieki nad Wasylem Wasylewiczem. Karamzin pisze, że roku 1423, więc na dwa lata przed śmiercią Wasyla Dymitrowicza, zjechała się ona z Witołdem w Smoleńsku, „może nietylko dla widzenia się z ojcem, ale także dla ważnych politycznych narad“ [2]). W kronikach, niestety, nic znaleźć nie można, coby na tę sprawę i samą postać córki Witołdowej światło rzucić mogło.

Drugi był jeszcze obok Moskwy współzawodnik do opanowania potężnych północnych Rzeczpospolitych, mianowicie Krzyżacy, którzy dążyli do stworzenia wielkiego państwa nad Bałtykiem, od Nowej Marchii, poprzez ujścia Wisły i Niemna, aż do Pskowa i Nowogrodu. Już w roku 1409 zaznaczyła się tu przewaga Litwy.

---

[1]) „Nusquam tibi requies, nusquam otium. Heu, cur tantus amor gloriae ac propagandi nominis cupido te sic abstulit tibi ipsi? Istic es, ubi tuus non es.“ — Z listu Franciszka de Comitibus Aquae Vivae. Cod. ep. Witoldi, Nr. 1394.

[2]) Karamzin: Historya Rossyi, t. V., str. 196.

Oba te miata przyjęły namiestników Witołda. Po Grunwaldzie zaś zachwiało się stanowczo stanowisko Zakonu w tych ziemiach.

Długosz, który obszernie opisuje dzieje wypraw z lat 1426 i 1428, zaznacza przy obu, że przyczyna ich była nikła [1], mianowicie spory graniczne, które można było pokojowo załatwić. Skoro jednak doszło do wojny, szło widocznie wielkiemu księciu o coś daleko ważniejszego, o ugruntowanie swej zwierzchniczej władzy w Nowogrodzie i Pskowie.

Już w roku 1417 zamierzał Witołd wyprawić się na Psków, o czem w lipcu tegoż roku donosi mistrz inflancki wielkiemu mistrzowi w następujących słowach: „Wypowiedział (Witołd) wojnę Pskowianom i chce ich napaść z całą siłą, z powodu, iż nie okazali dobrej woli w obec niego.“ [2]). Czy był to istotny zamiar, czy może tylko groźba, gdy Pskowianie nie byli powolnymi woli księcia? Poprzednio bowiem stara się Witołd nakłonić Pskowian i Nowogrodzian do wypowiedzenia Zakonowi wojny [3]). Jesienią 1417 r. staje się Psków terenem ożywionej dyplomatycznej akcyi. Krzyżują się tu i ścierają wpływy Zakonu, Witołda i Moskwy. W listopadzie spotykamy się z pierwszą relacyą w sprawie zawarcia przymierza między Pskowem a Zakonem inflanckim. Landmistrz donosi wielkiemu mistrzowi, że byli u niego posłowie Pskowa, a także poseł wielkiego księcia Moskwy, z usilnemi prośbami o pokój i „przyjaźń“, że przyjął tę propozycyę, że warunki pokoju ułożone i ze strony Zakonu zaprzysiężone już nawet [4]). Ale niebawem najniespodziewaniej zmieniło się postępowanie Pskowian. Nie chcą ratyfikować warunków, dodanych przez Zakon do artykułów pokojowych, na które poprzednio już się byli zgodzili. Jeden z tych dodatkowych artykułów zawierał zapewnienie, że w razie wojen Witołda z Zakonem Psków wielkiemu księciu Litwy pomocy nie udzieli. Niemile zaskoczony mistrz inflancki, pisze o Pskowianach: „Są to dziwni, nieużyci ludzie. Skoro sobie coś przedsięwezmą, niepodobna ich od tego odwieść.“ [5]) Ale dalej w tymże samym liście następuje doniesienie, wyjaśniające

---

[1]) „Causa tenuis erat.“ Długosz, L. XI. Opera t. XII., str. 340.

[2]) „Den Pleszkowern hat er den Frede ufgesagt und will sie mit voller Macht obirfallen, als veer sie sich nicht gutlichen wollen bei im beweisen.“ Bunge, T. V., Nr. 2150.

[3]) Bunge, T. V., Nr. 2140.

[4]) Ibidem, Nr. 2172.

[5]) „Is zint wurderliche, unbetutliche lute. Was sie vor sich nemen, davon kann man sie nicht gebrengen.“

zagadkowe postępowanie Pskowian [1]: Witołd posłał poselstwo do Pskowa z żądaniem pomocy przeciw Zakonowi. Pskowianie odpowiedzieli. że gotowi są to uczynić. jeśli otrzymają zezwolenie wielkiego księcia Moskwy.

Ostatecznie jednak doszło do zawarcia przymierza na lat 10 między Zakonem inflanckim a Pskowem. a cała ta akcya Witołda jasno wskazuje, że Witołdowi szło w tym roku przedewszystkiem o pozyskanie Pskowa dla walki z Zakonem i że projekt wyprawy na Psków mógł być tylko chwilowy. Idea wielkiej, zbiorowej akcyi przeciw Zakonowi zjawia się wtedy i w Moskwie. Wielki książę Wasyl Dymitrowicz wysyła do Witołda poselstwo z usilnemi prośbami. by wraz z nim stanął w obronie krzywdzonych często przez Zakon północnych Rzeczpospolitych. Cały północno-wschodni świat słowiański miał więc zmierzyć się z niemiecką potęgą. Pewne większe zbliżenie się między Moskwą a Litwą zaznaczyło się przez poselstwo Moniwida do Moskwy, oraz przez małżeństwo Olelki Włodzimierzowicza z córką wielkiej księżnej moskiewskiej. Zofii, a wnuczką Witołda, Anastazyą. — Ostatecznie jednak do zawarcia przymierza zaczepno-odpornego przeciw Zakonowi nie doszło. [2])

Od roku 1421 spotykamy znów naprężone stosunki między wielkim księciem Litwy a Pskowem. Kronika pskowska skarży się corocznie, że Witołd „wielki gniew dzierży na Pskowian" [3]). Powód był zrazu ten sam, co w roku 1417, mianowicie Pskowianie odmówili pomocy Witołdowi w walce z Zakonem. Ale wkrótce zmieniły się stosunki. W roku 1422 stanął, po walkach z lat 1419 i 1422, pokój melneński z Zakonem. Odtąd wszystkie swe siły zwraca Witołd ku północno-wschodniej Rusi, by ugruntować tam i rozszerzyć swe wpływy i władzę. Zakon miał mu być usłużnym sprzymierzeńcem w tej akcyi. — W roku 1424 już powziął Witołd konkretny zamiar wyprawy na Psków. [4]) W kwietniu zaś 1425 r., w związku z ponowionym planem wielkiego księcia walki z północną Rzeczpospolitą, wysłano z Malborga dwóch komturów, Bałgi i Ragnety, do Wilna z doniesieniem, że wielki mistrz, będąc w przymierzu z Pskowianami, pomocy przeciw nim udzielić nie może. [5])

---

[1]) Auch hatte herzog Witowt eine boten zu Pleskowe... und hatte die Pleskowirs bitten und manen lassen, das sie im uf unsern Orden helfen sollin..." Bunge, T. V., Nr. 2176.

[2]) C. ep. W., Nr. 763.

[3]) Połn. Sobr., T. V., str. 23. 24.

[4]) C. ep. W., Nr. 1153.

[5]) Ibidem. Nr. 1190.

W maju już wiedziano w stolicy Zakonu, że Witołd zaniechał wyprawy na Psków, co naturalnie obudziło wielką radość. Pskowska wyprawa doszła do skutku dopiero w r. 1426. Mamy szczegółową relacyę z pierwszej połowy czerwca o przygotowaniach, czynionych na Litwie. [1]) Witołd nakazuje przygotowania do wyprawy pod karą śmierci. Polacy śpieszą z pomocą i to w znacznej sile. Mają też nadciągnąć posiłki tatarskie. Nowogrodzianie przybywają także na pomoc. [2]) W trzy tygodnie po św. Pawle ma stanąć armia Witołda u Dźwiny, a w dziesięć dni potem w Pskowie. Zamówiono już broń ogniową. Powodem wyprawy ma być, wedle tej relacyi, król polski, który obiecał Witołdowi znaczną pomoc. [3]) Ruskie kroniki zgodnie zaświadczają o udziale Jagiełły w Witołdowych wyprawach. [4]) Z opowiadania Długosza wiemy, że Zbigniew Oleśnicki, który wtedy bawił na Litwie w poselstwie od Jagiełły i spotkał się w Trokach z posłami Pskowian, proszącymi o pokój, był przeciwny tej wyprawie. Być może jednakże, że biskup krakowski zmienił zdanie co do tej wyprawy pod wpływem gotowości Pskowian do wszelkich ustępstw.

Starał się też Witołd pozyskać pomoc episkopatu inflanckiego. Liczył mianowicie na poparcie ze strony biskupa Dorpatu, który był jego osobistym przyjacielem. Prosił też mistrza inflanckiego, by pozwolił ochotnikom z Zakonu na udział w wyprawie. Witołd powołuje się tu na dawny zwyczaj: „Kiedy bowiem z Pskowem pozostawałem w przymierzu, moi ciągnęli do Inflant na wyprawy, które wasi poprzednicy podejmowali, a jednakże przymierze pomiędzy Litwą a Pskowem przez to nie było zerwane.“ Pomocy jednak od Zakonu nie otrzymał. Landmistrz wymówił się trwającem jeszcze przymierzem z Pskowem, a niebawem doszły wielkiego księcia wieści przez posłów pskowskich, że Zakon wysłał tamże poselstwo z prośbą o przedłużenie przymierza. W zręcznym liście z dnia 17 czerwca [5]) daje Witołd znać mistrzowi inflanckiemu, że wie o tych jego znoszeniach się z Pskowem, że jednak wiary im nie daje, na co natychmiast otrzymuje odpowiedź [6]) z zapewnieniem, że nieprawdziwe były te wieści, uwłaczające Zakonowi.

---

[1]) C. ep. W., Nr. 1231.
[2]) Połn. Sobr. T. V., str. 25.
[3]) „Dat macket de Konigh von Polen... her will em grote hulpe senden von Polen.“ C. ep. W., Nr. 1231.
[4]) Połn. Sobr., T. XVII., str. 175.
[5]) C. ep. W., Nr. 1234.
[6]) Ibidem, Nr. 1239.

Przeciwnie: Pskowianie starali się na ostatniem zjeździe w Walku o przedłużenie przymierza, czego im mistrz odmówił. Posłów zaś swych do Pskowa wysłał w sprawie szkód, jakie mu Pskowianie wyrządzali. Przykroby było mistrzowi, gdyby posłowie Zakonu przekroczyli byli daną im instrukcyę.

Arcybiskup Rygi i biskup Dorpatu pomocy Litwie również nie udzielili. Po otrzymaniu listów Witołda, zapraszających do udziału w wyprawie, radzili się oni mistrza inflandzkiego, co uczynić. Landmistrz naturalnie odradzał dania pomocy Witołdowi.[1])

Latem wyruszyły Witołdowe wojska na północ. Długosz opisuje tę wyprawę bardzo barwnie.[2]) Przystąpiono do oblegania Woroneża, ale tym razem nie wiodło się wielkiemu księciu. Szalały burze, padały deszcze przez siedm tygodni. Ziemia, już z natury błotnista, rozmokła tak, że konie i wozy ruszyć z miejsca nie mogły. Wielu zginęło z głodu w skutek niemożności dowozu żywności. Pskowianie odnosili zwycięstwo w potyczkach. Wtedy Witołda poczyna dręczyć niepokój i troska o wynik tej wyprawy. Długosz pięknie pisze o wahaniach tej nieugiętej natury, o ponawianych próbach walki. Ale szczęście wciąż nie sprzyjało. Wreszcie wysyła Witołd poselstwo do Pskowian, gotów zawrzeć z nimi pokój. Pskowianie jednak, upojeni zwycięstwem, odrzucają podane im warunki. Wtedy nastąpiła nagła zmiana. Rozszalałe żywioły uciszyły się, a pogodne, jasne niebo przyniosło Witołdowym wojskom zwycięstwo. Pskowianie przerażeni, upokorzeni proszą wielkiego księcia o pokój, który tak niedawno dumnie odrzucili. Tyle opowieść Długosza.

Do tych dziejów bogatego materyału dostarczają ruskie kroniki, mianowicie dwie pskowskie. Na podstawie tych źródeł stwierdzić się da dokładna data wkroczenia Witołdowych wojsk na terytoryum północnej Rzeczpospolitej.[3]) Dnia 1 sierpnia staje Witołd pod Opoczką, zkąd cofa się po dwóch dniach, niczego nie dokonawszy, wobec mężnego oporu Opoczan. Dnia 5 sierpnia zaczyna obleganie Woroneża. Z machin oblężniczych ciska kamienie na gród. Woronežanie, znalazłszy się w bardzo trudnem i przykrem położeniu, wysyłają posła do Pskowian z prośbą, by ci wstawili się za nimi u Witołda. Wielki książę Litwy jednak pskowskiego „czołobicia“ nie przyjął i dalej gród oblegał. Tu następuje barwny

---

[1]) Bunge. T. VII., Nr. 503.

[2]) Długosz. Lib. XI. Opera t. XIII., str. 340. 341.

[3]) Poln. Sobr. T. V., str. 25.

opis burzy, która tak przeraziła Witołda, że nad ranem, po pełnej grozy nocy, przyzwał ku sobie Woronężan i zawarł z nimi pokój. Poczem rozpoczęły się pertraktacye z samym Pskowem, z którym Witołd także pokój zawarł, „przeraziwszy się tej strasznej i groźnej burzy“. Jednakże niebawem uderzył „niewierny kniaź“ na Pskowian pod Kotelnem. Dalej potoczyła się walka w różnych punktach. Wreszcie Pskowianie posłali do Witołda, pod Woroneż, z prośbą o pokój, który zawarto d. 25 sierpnia. Naznaczono termin, w którym Pskowianie dostawić mieli Witołdowi 1000 rubli srebrem i jeńców.

Opowieść ruskiej kroniki różni się nieco, jak widzimy, od opowiadania Długosza, co do przebiegu akcyi. Niewątpliwie pskowskie kroniki dostarczają nam cennych szczegółów, ale trudno przyjmować bez zastrzeżeń opowieść o rzekomem wiarołomstwie Witołda, charakterystyczną w swej niechęci do wielkiego księcia; robi ona na nas wrażenie barwnej, pełnej życia baśni.

Zimą 1427 roku, przybyło do Witołda poselstwo z Pskowa, wedle umowy przyniosło wielkiemu księciu 1000 rubli, żądało zaś w zamian wydania jeńców. Ale Witołd, „poganin, niemiłościwe miał serce“, srebro wziął, a jeńców w fortecy osadził. W wielkim poscie przybywa znowu poselstwo z Pskowa na Litwę, przywożąc jeszcze 250 rubli, za co wreszcie uzyskali uwolnienie jeńców.[1]) W liście Witołda do wielkiego mistrza, z marca 1427 r., znajdujemy potwierdzenie tej opowieści.[2])

Jedno tylko źródło przedstawia odmiennie rezultaty wyprawy wielkiego księcia Litwy w r. 1425. W listopadzie tegoż roku pisze mistrz inflancki do cesarza Zygmunta, że Witołd miał zamiar wielką swą siłą ujarzmić Pskowian, że tego jednak nie uczynił, powrócił na Litwę, a Pskowianie są odtąd zuchwalsi, niż dotąd bywali. Dziesięciolecie przymierza z Pskowem minęło i landmistrz obawia się napadu ze strony Pskowian.[3]) — To opowiadanie jest jednak najwidoczniej stronnicze. Inflanckiemu mistrzowi szło o wymówienie się od dania pomocy Zygmuntowi przeciw Husytom. Dlatego w przesadnych barwach maluje niebezpieczeństwo, grożące

---

[1]) Połn. Sobr. T. V., str. 26.

[2]) C. ep. W., Nr. 1270.

[3]) „Witowt meyndte die czu betwyngen mit grossem Volke... Das hat er nicht gethan und is weder uss dem Lande geczogen, daruff sich dy Rewszen sere vorlosszen und vorbolgener sein geworden, denn sie bey meynen tagen y geweszet sein.“ Bunge. T. VII., Nr. 544.

Zakonowi ze strony Pskowa i fałszywie ocenia wyniki i skutki Witołdowej wyprawy.

W roku 1427 uznały zwierzchnictwo Witołda wschodnia połać Księstw Wierchokskich, a nawet daleki Riazań i Perejasław zaleski. Zwycięska a pokojowa, a nie orężna wyprawa przyniosła te wielkie sukcesy. To znamienne, bo „terytorya ruskie w XIII. i XIV. w. przeważnie nie w drodze podboju łączyły się z Litwą, lecz bądź przez powoływanie do nich książąt litewskich, bądź też przez dobrowolne poddanie się wielkiemu księciu“. [1]) W lipcu tegoż roku jest już wielki książę Litwy w obozie „o trzy dni drogi od Mińska“, dokąd przybywa wielka księżna Moskwy, poczem udaje się Witołd w dalszą podróż, „sto mil przeszło na wschód słońca“ od Smoleńska. Wyruszyli mu naprzeciw książęta Riazania, Perejasławia, Prońska, Nowosila, Odojewa, książęta Worotyńscy, oddając mu się z ziemiami swemi, składając hołdy, przysięgając wierność i posłuszeństwo. Zapraszają go do siebie, obsypują darami. Wielka księżna Moskwy prosi, by Witołd przybył do niej. Nie pojechał on jednak do córki, do Moskwy, tłumacząc się brakiem czasu. Wtedy wielka księżna Zofia udała się sama do niego, oddając mu się z synem w opiekę i obronę. [2]) Przesyłając wielkiemu mistrzowi relacye z tej wyprawy, donosi mu Witołd, że obecnie ma zamiar udać się Dnieprem do Kijowa, który jest „stolicą wszystkich ruskich krajów“. Znamienne słowa, powtarzające się często w dziejach rywalizacyi Moskwy i Litwy, a świadczące o pretensyach jednej i drugiej strony do całej Rusi. Z Kijowa udać się miał Witołd do Horodła na spotkanie Jagiełły.

Z tego roku zachowało się kilka dogoworów, wystawionych Witołdowi przez poszczególnych książąt Rusi Zaleskiej. Charakter tych dokumentów, nie jest jednakże jednolity. Borys Alexandrowicz [3]), książę Tweru, zawiera z wielkim księciem Litwy przymierze zaczepno-odporne. Zastrzega sobie, że Witołd w rządy jego mieszać się nie będzie. Witołd uznaje też władzę jego nad kremniakami twerskimi. Faktyczna przewaga Witołda w tej umowie, opartej na obopólnych zobowiązaniach, zaznaczyła się tem, że nieporozumienia między Borysem a Witołdem sądzić będzie Witołd.

---

[1]) St. Kutrzeba: „Historya ustroju Polski i Litwy“, t. II., str. 9.

[2]) C. ep. W., Nr. 1298.

[3]) Borys był wnukiem Maryi, siostry Witołda, a żony księcia twerskiego, Iwana Michałowicza. Ztąd w dokumencie nazywa Witołda swym „diedem“.

Sama też nazwa „hospodyn“, dawana Witołdowi przez księcia Tweru, wskazuje na pewien zwierzchniczy charakter wielkiego księcia Litwy. [1])

W tym akcie znajdujemy też pewne wskazówki co do rozgraniczenia ziem W. Księstwa Litewskiego od posiadłości Tweru, mianowicie wymienione są, jako ziemie Witołda: Smoleńsk, Witebsk, Kijów, Dorohobuż i Wiazma: jako ziemie Tweru: Kaszyna, Horodek, Zybcew.

Co do wewnętrznych urządzeń Księstwa Twerskiego znamiennem jest zastrzeżenie, że zbiegli do Witołda tracą swe ziemie w obrębie Księstwa Twerskiego, któremi rozporządzać będzie Borys Alexandrowicz. Trzeba tu przypomnieć, że na Zalesiu istniało prawo „wolnego otjezda“. Wprowadzało ono zamęt; ztąd od połowy XIV. wieku spotykamy się z usiłowaniami ograniczenia go. Borys Alexandrowicz czyni wielki krok naprzód, znosi to prawo całkowicie, a działał tu niewątpliwie wpływ urządzeń sąsiedniej Litwy.

Inny charakter posiada dokument, wystawiony Witołdowi przez księcia riazańskiego, Iwana Fedorowicza: tu wielki książę Litwy przyjmuje „na służbę“ księcia Riazania. Dalej brzmienie dokumentu jest bardzo znamienne: „A jeśli wielki kniaź Wasyl Wasylewicz znajdzie się w jakiejś potrzebie, a pozwoli mi wielki kniaź Witołd, wtedy i mnie, kniaziowi wielkiemu, Iwanowi Fedorowiczowi, podług jego woli, należy pomódz mu (t. j. Wasylemu) na kogokolwiek... A gdyby była jakaś nieprzyjaźń między wielkim księciem Witołdem a wielkim księciem Wasylem Wasylewiczem, lub krewnymi jego, lub bracią jego, wtedy i mnie, wielkiemu księciu Iwanowi Fedorowiczowi, należy pomódz wielkiemu księciu Witołdowi, mojemu hospodarowi, bez podstępu.“ [2])

---

[1]) „Se jaz kniaz welikij, Borys Alexandrowicz Tferskij, wzial iesmi lubow takowu i z swoim hospodynem z diedem welikim kniaziem Witowtom Litowskim i mnohich Russkich zeml Hosudarem.“ Akty zap. Rossii. I., Nr. 33.

[2]) „A budet li kotoraja nałoha welikomu kniaziu Wasiliu Wasylewiczu... a wzwelit mi kniaz weliki Witowt i mni kniaziu welikomu Iwanu Fedorowiczu, po eho weliniu, posobliati emu na wsiakoho... a budet li welikomu kniaziu Witowtu z welikim kniaziem Wasiliem Wasylewiczem... kakoie neliubie, ili z diadami eho, ili z bratieju eho, i mni welikomu kniaziu Iwanu Fedorowiczu, posobliati welikomu kniaziu Witowtu, swojemu Ospodariu, na nich bez chitrosti.“ — Akta archeogr., Nr. 25, str. 17.

W obec tego tekstu nie możnaby przyjąć twierdzenia dr. Konecznego [1]), że Witołd zgarniał te drobne zaleskie księstewka pod hegemonię Moskwy. Przyjmował Witołd „na służbę“ nie w zastępstwie moskiewskiego księcia, skoro udzielenie, w razie potrzeby, pomocy Wasylemu czyniono zależnem od pozwolenia w. księcia Litwy. Co więcej: na wypadek nieprzyjaźni między Witołdem a Wasylem Wasylewiczem ma dać książę riazański pomoc Witołdowi. — Witołd, opiekun Wasyla moskiewskiego, działał w interesie Litwy, a wbrew interesom Moskwy, i pod władzę Litwy ściągał zaleskie księstwa.

Co do wewnętrznych spraw Księstwa riaziańskiego, Witołd mieszać się do nich nie będzie. Zastrzeżono to sobie wyraźnie. [2]) W Tule i kilku innych włościach miał natomiast w. książę Litwy prawo zarządzać według swej woli. [3])

Na tych samych warunkach zawierali umowy z Witołdem książęta: proński [4]), perejasławski, nowosielski, odojewski, worotyński [5]).

Na stanowisko Moskwy w obec Litwy w tym czasie rzucają dużo światła następujące fakty. W r. 1427 posłali Pskowianie poselstwo do Wasyla Wasylewicza z prośbą, by wstawił się za nimi u Witołda. A zimą tegoż roku wspólne poselstwo moskiewsko-pskowskie przybyło na Litwę. [6]) W roku 1428 prosili Pskowianie księcia moskiewskiego o przysłanie im na „kniażenie“ księcia Alexandra Fedorowicza rostowskiego. [7]) Istotnie kniaź rostowski wysyła tam natychmiast w swem zastępstwie syna swego, który jednak niebawem Psków opuścił. Ale w r. 1429, na prośby Pskowian, zwrócone do Wasyla Wasylewicza, znowu przybywa do Pskowa tenże kniaź. „Kniażenie“ w Nowogrodzie, czy w Pskowie, nie było faktyczną władzą. Kniaź miał tam zupełnie podrzędne znaczenie. Ale bądź co bądź fakt ten świadczy o pewnem wzmo-

---

[1]) Dr. Koneczny: „Dzieje Rossyi“, str. 483.

[2]) „A welikomu kniaziu w wotczinu moju ne wstupatisia... winemszi Tułu, Berestej, Retań z Paszi, Dorożeń, Kakołoteń, Hordiewskoy.“ — Akta archeogr., Nr. 25, str. 17.

[3]) Już w r. 1425 Riazań i Tuła zostawały pod zwierzchnictwem Witołda: „Die ouch itczundt uns gehorsam sint“, — pisze Witołd d. 1 stycznia 1425 r. — C. ep. W., Nr 1181.

[4]) Akta archeogr., Nr. 26, str. 18.

[5]) C. ep. W., Nr. 1298.

[6]) Połn. Sobr. T. V., str. 26.

[7]) l. c.

żeniu się w Pskowie wpływów Moskwy. — Pod rokiem 1428 spotykamy w pskowskiej kronice wiadomość, że Wasyl Wasylewicz przysięgał, iż pomagać nie będzie ani Nowogrodowi, ani Pskowowi.[1]) Ponieważ zaś Nowogród był właśnie wtedy w wojnie z Witołdem, oczywiście może tu być mowa tylko o pomocy przeciw Witołdowi. — Ten ostatni fakt zwłaszcza jest bardzo wymowny, bo najwidoczniej były dwie polityki, Witołda i Wasyla, a raczej jego rady w Moskwie, — dwie polityki, które różnić się mogły, choć Witołd był opiekunem księcia moskiewskiego, gdyby nie stanowczą, faktyczną przewagą górujące stanowisko w. księcia Litwy.

Na rok 1428 przygotowywał Witołd ostatnią już i znów zwycięską wyprawę na potężną Rzeczpospolitą Północy. Dnia 23 kwietnia donosi Witołd wielkiemu mistrzowi, że zamierza tegoż roku wyprawić się na Nowogród. Długosz pisze obszernie o dziejach tej wyprawy.[2]) Z powodu granicznych sporów przesyła Witołd Nowogrodzianom wypowiedzenie wojny, zapowiadając swe przybycie na dzień 29 czerwca. Czyni też natychmiast przygotowania do tej wyprawy. Zbiera liczne wojsko z Polaków i Rusinów. Dnia 10 lipca wkracza w ziemie nowogrodzkie.[3]) — Potężną Rzeczpospolitą otaczały bagniste lasy; zwłaszcza t. zw. „czarny las“ był prawie nie do przebycia. Witołd wysyła 10.000 pieszych żołnierzy, by pościnali drzewa i pokładli na ziemię, jakby kładki. Pracę tę wykonanno z wielką szybkością, a tak umożliwiono wojsku przejście przez te błota. O zachodzie słońca przeprowadzono już całe wojsko na suche miejsca i przystąpiono do oblegania Opoczki. Zdobycie jej nie zdawało się trudnem, bo obrońcy byli niedoświadczeni i brak było w nich ducha. Przerazili się Nowogrodzianie, nie spodziewający się Witołda. Wysyłają biskupa i czternastu starszych do w. księcia z prośbą o pokój. Witołd wita ich na tronie pod baldachimem, otoczony wojskiem. Wśród szeregów Witołdowych rycerzy szli przerażeni posłowie, padli na twarz przed w. księciem, uznali go zwycięzcą i panem i znów pokłonili się aż do ziemi. Prosili o pokój, zapewniając, że godzą się na takie granice, jakie im Witołd wyznaczy. Witołd godzi się na pokój. Żąda 10.000 rubli srebrem, wy-

---

[1]) „A kniaz weliki tohda Wasyl Wasylewicz k didu swoiemu kniaziu Witowtu i krest pociłowa, czto emu ne pomohati po Nowohorodi ni po Pskowi.“ — Połn. Sobr. T. V., str. 26.

[2]) Długosz. Lib. 11. Opera T. XIII., str. 362—365.

[3]) Połn. Sobr. T. IV., str. 205.

dania załogi i koni twierdzy Opoczki, futer i tkanin. Trzeciego dnia składają Nowogrodzianie żądany haracz i bogate dary u nóg Witołda, poczem natychmiast w. książę wraca na Litwę. W Nowogródku miało miejsce rozdawnictwo łupów. Wspaniale obdarowuje Witołd Polaków, których otaczał szczególnym szacunkiem i pieczołowitością. Udział w wojnie tej brali: Swidrygiełło, Zygmunt, książę na Starodubiu, książę Mazowiecki Kazimierz, Olelko Włodzimierzowicz, Wincenty z Szamotuł, międzyrzecki kasztelan i naczelny wódz całej wyprawy.

Kroniki pskowskie i nowogrodzka [1]) potwierdzają w głównych zarysach opowiadanie Długosza. Nie wymieniają jednakże Opoczki, lecz Porchów. Nowogrodzka kronika dodaje, że srebro dla Witołda wybierano po wszystkich włościach nowogrodzkich i za Wołgą. Nowogrodzianie daremnie wzywali na pomoc Pskowian, którzy wymówili się przysięgą, złożoną Witołdowi, iż Nowogrodowi pomagać nie będą. Zresztą oświadczyli: „Jakoście wy nam nie pomogli, tak i my wam nie pomożemy“ [2]), przypominając tu Nowogrodzianom, że w r. 1426 daremnie błagali ich pomocy.

Z współczesnej korespondencyi zachował się list Jagiełły z dnia 9 sierpnia [3]), w którym donosi wielkiemu mistrzowi, że otrzymał radosne wieści o zwycięstwie Witołdowem nad Nowogrodem i że obecnie w. książę wraca na Litwę. Z Malborga donoszono Witołdowi, że z uniesieniem radości przyjęto wiadomość o jego zwycięstwie: zgromadzeni komturowie i starszyzna zakonna z odkrytemi głowami chwaliła Boga za to nowe wielkie powodzenie swego sprzymierzeńca. A dziwnym zbiegiem okoliczności równocześnie dowiedziano się o klęsce cesarza Zygmunta pod Gołąbcem.

Powrót Witołda z nowogrodzkiej wyprawy, na Smoleńsk, ziemie Zygmunta i Świdrygiełły, wreszcie Dnieprem do Kijowa [4]), to jakby wspaniały pochód tryumfalny. Ścielą się do nóg wielkiego księcia hołdy i bogactwa Wschodu. „A kto mógł mu z darami wyjść naprzeciw, był najszczęśliwszym człowiekiem.“ Witołd staje, jak wielki mocarz na tych ziemiach. Jego przemożna wola skupiała i ściągała książąt z rodzinami i orszakiem najdostojniejszych pod-

---

[1]) Połn. Sobr., T. IV., str. 121, 205; T. V., str. 26.
[2]) Ibidem, T. V., str. 26.
[3]) C. ep. W., Nr. 1328.
[4]) C. ep. W., Nr. 1329.

danych z dalekich, najdalszych stron. „I codzień wielu przychodziło doń posłów z bogatymi darami", jak pisze o tem kilkakroć Henne, błazen wielkiego mistrza, który przybył do Witołda w pobliżu Trok. Był więc naocznym świadkiem opisywanych wypadków... Do Łucka r. 1429 przybywają cesarz rzymski i posłowie cesarza bizantyńskiego, rycerze Zakonu z Prus i Inflant i liczni więksi i mniejsi kniaziowie ruscy, poselstwa z Moskwy i z dalekich tatarskich chańSTW, chrześcianie i poganie. Na dworze w. księcia Litwy spotkały się różne światy. Witołd podejmował wspaniale swych gości. Kroniki podają legendarne opisy uczt i bogatych darów. Przepych na dworze w. księcia olśnił krzyżackich posłów, przybyłych na zjazd monarchów; czynią oni ostre wymówki wielkiemu mistrzowi, że zbyt szczupłe, zbyt skromne dary przesłał Witołdowi, któremu wszyscy przynoszą, co mają najlepszego ich domy i ziemie. A przepych był wyrazem istotnej siły. Przybywa do Łucka poselstwo z Kazania z prośbą o przyjęcie „w ochronę i łaskę" [1]). Coraz dalej sięgają wpływy w. księcia Litwy.

Wreszcie korona królewska uwieńczyć miała skronie jego, wabiła i nęciła, ale świeciła zwodniczym blaskiem i wiodła do wielkich niebezpieczeństw. Na jesień 1430 r. zapowiedziany był zjazd koronacyjny „wszystkich ludów i wszystkich ziem" [2]). Przybywa Wasyl, w. książę Moskwy, Borys, książę Tweru, Eliasz, wojewoda wołoski, wielki mistrz Zakonu, Focyusz, metropolita wszystkiej Rusi, i „wszyscy kniaziowie i wojewodowie i władycy i panowie i bojarowie ze wszystkich ziem" [3]). Witołd chciał mieć świadkami swego wyniesienia cały ten świat, mniej lub więcej silnymi węzłami związany z Litwą, dzięki jego pracy i jego tryumfom. Wszak poddani zawsze idą za rydwanem zwycięzcy!

Trudno tu nie widzieć przewagi Witołdowej Litwy nad Moskwą. Wilno i Troki stawały się centrem, które skupiało życie „wszystkiej Rusi". Z kart, przekazujących potomnym czyny Witołdowej Litwy, bije światło, jakie znamionuje wielką chwilę dziejową. Zaiste miał racyę Szujski, gdy powiedział, że „i my mieliśmy chwilę potężnego rozpierania się w świecie". Litwa za Witołda sięgnęła dalej, niż za Olgierda. Była to chwila najdalszej ekspansyi W. Księstwa Litewskiego.

---

[1]) C. ep. W., Nr. 1329.
[2]) Połn. Sobr. T. XVII., 177—8.
[3]) Ibidem, str. 178.

Kochanowski[1]) może słusznie podniósł związek wypraw z r. 1426—8 z planami Witołda uzyskania w związku dwóch narodów przewagi dla interesów Litwy. Ale obok tego celu miał Witołd cel drugi: nietylko „odświeżenie“ przewagi Litwy na Rusi, ale rozszerzenie jej władzy i jej wpływów, korzystając ze sposobnej pory. Był to cel, zaiste, nietylko pomocniczy. Polityka zewnętrzna w stosunku do Rusi nie poszła tu w służbę polityki wewnętrznej. Na to wskazuje całe panowanie Witołda, które wytyczyło drogi litewskiej polityki na dalekie ziemie północno-wschodniej Rusi, aż pod mury Moskwy. A temiż samemi drogami szły przed nim i po nim dażenia największych władców W. Księstwa Litewskiego.

Potęgę Witołdowej Litwy sławią współcześni i potomni. W ruskich kronikach spotykamy liczne „pochwały“ „sławnego hospodara“, „przebywającego w wielkiej sławie i czci“. — Rossyjski historyk, Karamzin, pisząc o czasach Witołda, nazywa Ruś suzdalską „ostatkiem niepodległości Rossyi“, a omawiając stosunki Wasyla Dymitrowicza z w. księciem Litwy, świadczy pod r. 1400, a więc świeżo po klęsce nad Worsklą, że Wasyl „szanował lwa, choć ten był raniony“.

Wedle opisu Posilgego, krzyżackiego kronikarza, Witołd był „żywy, energiczny, namiętny, smukły i drobny“, — a jedną z tych postaci, które noszą znamię wielkości. Myśl jego lubiła się zapędzać. A jednak nieubłagana konsekwencya dostrzedz się daje w olbrzymim planie, obejmującym wielkie obszary i różne światy. Wielki plan stopniowo tylko krystalizować się mógł w czynie, a tak różne były fazy w działalności Witołda, że zrazu odnosi się wrażenie sprzeczności i niekonsekwencyi. Trzeba jednak poznać ukryty związek myśli. Nie ambicya wyłącznie, ani jego bujnej, bogatej naturze właściwa potrzeba ekspansyi, — ale mądra, na daleką metę, polityczna myśl, dobrze pojęta racya stanu wskazywały drogę trudu i sławy. Olbrzymi był plan, aż prawie fantastyczny, ale w głębi duszy wielkiego księcia była niezwalczona, olbrzymia zaiste moc i potęga, a wiemy, że takie natury umieją kształtować rzeczywistość na podobieństwo myśli swej i woli swej.

---

[1]) J. K. Kochanowski: „Witołd, wielki książę Litwy“, str. 192, 19?.

ANNA DEMBIŃSKA.

Mieczysław Romanowski.

(ZARYS KRYTYCZNY.)

(Na podstawie źródeł rękopiśmiennych.)

(Ciąg dalszy.)

II.

Mieczysław Romanowski życiem swem i twórczością związany był z okresem najgórniejszym w poezyi, a najbardziej „rewolucyjnym“ w dziejach Polski porozbiorowej. U kolebki miał widmo 1831 r., młodego chłopaka ciągnął już ku sobie zamęt 1848 r., młodzieniec serce swe hartował w latach przygotowań do r. 1863. Wszystkie ruchy narodowościowe żywo zajmowały jego uwagę, pisał o nich obszernie w listach swoich, — one po za twórczością wypełniały mu mu krótki jego żywot. I nie mogło być nawet inaczej. On, usposobienia poetyckiego, musiał czuć się bliższym tym wielkim duchom, które przez poezyę na życie wpływać chciały, określały szlaki myśli, po jakich dojść miano do najdroższego dla wszystkich celu, odbudowania utraconej Ojczyzny. On, mniej oddany studyom zawodowym, niż inni, nie przywiązany do roli koniecznością zajęcia, — syn szlachecki, pełen temperamentu i werwy, rzucony w środowisko młodych entuzyastów lwowskich — tych entuzyastów, którzy sił nie liczyli, planów nie stawiali, a tylko „na słowo“ wierzyli poezyi, co wówczas wszystkiem była, — musiał ideał Polaka-obywatela urobić sobie na miarę pojęć, jakie mieli

twórcy i sprawcy duchowi czynu. I czyn ten, równie, jak oni rozumieć i tłumaczyć sobie musiał. Wyszedł wraz z nimi od pojęcia zasadniczego, mianowicie, jakie jest stanowisko Polski? I tak, jak romantycy, ich duchem przejęty, na nich wykształcony — odpowiada, nic nie zmieniając i niczego nie dodając, że Polska, to „ludów Męczennica“ (t. IV., str. 56)[1]). A później już bez wahania oddaje się jako poeta i jako syn tej „Męczennicy“ władaniu słowa wieszczego. Uświadamia sobie, że w pierwszym okresie Mickiewicz „kuje zemsty pieśń w głębi ducha“ (t. IV., str. 33), następnie „zniczowe w sercach pali łuczywa“ (tamże), a wreszcie „potargał struny, lutnię odtrącił“, a mimo to, a raczej dlatego „drżącemi usty wieścił zbawienie“ (t. IV., str. 34). Krasińskiemu zaś w jego rozumieniu nie tajnem miało być, skoro stanął na wieczności progu: „gdzie kiedy i przez jakie boje. Czynami wstaną wieszcze pieśni Twoje“ (t. IV., str. 72).

Tylko jedno serce mu krwawi na wieść, że umilkli wieszcze: „Któż po nich zagra pieśni bojowe?“ (t. IV., str. 32). Wszakże:

> Wróżyli sławę, wróżyli zbawienie,
> Dusze słuchaczów wstrząsnęli do głębi,
> Ich żar nas pali — a ich chłód nas ziębi,
> Łakniem ich głodem, czujem ich pragnienie. (t. IV., str. 68).

Obawia się poeta, że niedośpiewany będzie rapsod wielkiej pieśni, rozbudzone uczucia gotowe przygasnąć pod popiołem obojętności. Więc waży się na ostateczność i już od siebie powiada: „Wieścili (romantycy) burzę... burzę daj nam, Panie!“ (IV., 69), a na pytanie: „Któż podniesie głos: „do broni!“ (IV., 67) — nie daje odpowiedzi wprost, ale cała jego twórczość pozwala nam twierdzić, że za swoje posłannictwo uważał głos ten szerzyć po Polsce. I tak własną wolą stał się Romanowski bezpośrednim spadkobiercą wszystkich idei wieszczych, a szczególniej idei czynu, którą zaklął w swoją pieśń bojową. Podniół jej sztandar wysoko, ale nie wyłącznym i nie jedynym był pieśniarzem gromów — jak to dotychczasowa krytyka utrzymywała. Zapominać bowiem nie można, że Romanowski był nieodrodnem dziecięciem muzy romantycznej, która tylu powołanych i niepowołanych zostawiła następców, — że żył w okresie raczej pieśni bojowej, a nie myśli realnych, — że idea, która jego przejmowała, musiała udzielić się i innej braci poetyckiej. Więc na stanowisko, wyznaczone mu przez

---

[1]) Cytaty według czterotomowego wydania Amborskiego.

biografów, jakoby „on wówczas w Polsce głos zabrał". choć „żył Ujejski i Asnyk" (Baumfeld, str. 48), zgodzić się żadną miarą niepododobna. Anczyc wraz z swoim symbolicznym „Tyrteuszem" i dziesiątkiem ulotnych poezyj, Wolski Włodzimierz. wstrząsający do głębi „Marszem Sybirskim", Znicz W., Urbański A., Wł. Waga, J. Zakrzewski, Ernest Buława (Tarnowski), Ludomir, Jaśkowski, Zborowski i cały szereg innych — to przecie twórcy. nad którymi nie sposób przejść do porządku dziennego. Byli wyrazicielami myśli i czuć ogółu, ten sam temat i tę samą chwilę obrali za treść swojej pieśni. co Romanowski, — więc z nim razem stają do zawodów. Rzecz inna, że z tego „konkursu poetyckiego" wyjść musi autor „Na dziś" zwycięzko — i nie potrzebuje obawiać się rywalizacyi nawet starszych poetów, jak Pol. Syrokomla, Gaszyński. Gorecki. Lenartowicz. Młodość dodawała mu orlich skrzydeł i siły niemal niezłomnej, — młodzieńcza też wiarą ufał, że droga. którą obrał. nie wiedzie na manowce. Miał też i przez co innego przewagę nad całą plejadą współczesnych. Oto tamci, nie wyłączając nawet Ujejskiego, byli zwyczajnymi naśladowcami nuty, zapożyczonej z bardonu Mickiewicza i Krasińskiego, — brali formę, metafory poetyckie, niemal że nie osnowę samą utworów. Dostosowywali to wszystko do teraźniejszości i więcej szermowaniem słów, obliczonych na tani efekt, brali publiczność czytającą. Filozofii własnej w tem brakowało. U Romanowskiego natomiast przedewszystkiem zauważyć się daje przemyślenie problemu czynu, snującego się nieprzerwaną nicią od kolebki romantyzmu, aż po ostatnie dni jego. I to nie przemyślenie byle jakie. Przeszedł on całą drogą myślową Mickiewicza i podkreślił etapy rozwojowe jego rozumowania. Nie zatrzymał się przy pierwszym: zemsty, bo ruch zbrojny w Polsce wydawał mu się raczej ofiarą, niż odpłatą za jarzmo. Nie został też przy drugim, bo widział. iż woli jest dość i siły serca niezłomnej także. Zresztą już zbyt blizkim był czas walki. zbyt wielkie ściśnienie atmosfery, by módz dopiero na czyn oddziaływać przez kształcenie serc i duszy. — Więc doszedł do granic poezyi i życia, zkąd krok jeden był tylko do strzaskania lutni. a przyjęcia do rąk oręża. I tu stanął na drogach rozstajnych. Człowiek przemawiał za działaniem — duch ulatywał w podniebne krainy. Pierwszego nie hamował — dla drugiego znalazł wzór godny: pieśń Krasińskiego. Wydaje nam się, że ideologia Romanowskiego pod tym względem jest właśnie najbliższą twórcy „Przedświtu". — Miał dla świata „pieśń czynu". wziętą od „filozofa-poety", a poświęcenie i ofiarę człowieka od wieszcza-apostoła.

Tak w jednej osobie połączył to, co było rozbieżne w Mickiewiczu i Krasińskim.

Człowiek o takich pojęciach, tak przygotowany do spełnienia duchowej puścizny, przyjętej na się dobrowolnie, mający ogrom uczucia narodowego w swem sercu, z pędu wewnętrznej siły napisać musiał:

Ciebiem pochwycił, o lutni ma
By w twoje dźwięki przelać ten szał,
Co w moją duszę natchnieniem wiał...

I lutnia stała się odtąd sługą wyłączną wieszczej myśli. — Ta była rzeczywiście w tem rozumieniu jedyną u Romanowskiego i rwała go z mocą niebywałą naprzód do dzieła. Wyprzedzał wszystko skutkiem tego i wszystkich — i rzeczywistość nie dorastała do jego miary duchowej. Życie stawało mu się „tylko echem, odbitem głucho o marzeń szczyt“, — a choć chciał to przemódz, choć napisze: „rzekłem sobie, nic mi nie braknie i dola moja szczęśliwa“, to jednak zaraz dodaje, że „czegoś duch łaknie — smutno mu, kędyś się zrywa“ (I., 118). Smutek to nie udany, ale najzupełniej szczery, wynikający z żądzy czynu. Stwierdzenie też tego, upoważnia do przyjęcia, jako wylewu uczuć osobistych i dwuwiersza, w którym Romanowski mówi, że wszystko daremne, bo

...komu Bóg ducha tak zapali,
Ni lodem go ochłodzi, ni zgasi w łez fali... (I., 126)

W obec tego „świat nie wesoły“ i jest w nim, „jak w trumnie“ (I., 98), ponuro, grobowo. Wyrwać się ztąd za wszelką cenę pragnąłby poeta ku nowemu życiu, choćby na skrzydłach orłów, chciałby „pohulać z niemi na chmurze, żyć piorunami (I., 98). Zerwie się wreszcie i rzeknie:

Młodości moja! wyrwij ty się ptakiem
Z tych krain bólu, nim wiosna przeminie!
O! serce, tobie życiem nie żyć takiem,
Ni z myślą płakać, że róż kilka ginie:
Tędy z żelaza kuta droga twoja.
Idź, bo cię przeklnę, ty młodości moja! (101)

Szarpie się Romanowski sam w sobie, wie, zdaje sobie z tego sprawę, iż „w sercu tkwi tęsknota, w myślach dzikie skry“ (I., 155), ale mimo to podkreśla ciągle, że

Jak orzeł w górę ninie myśl ma rwie się,
O! a tak rzadko sercu pomyk zniesie...
Przez krwawe trudy, ciernie, ach! przez boje
Może wróci szczęście moje?!

Lecz ta droga, „zapowiadana wieszczemi snami — jakaż ona głucha?“ (I., 24). Konspiracye, praca w Królestwie nad przygotowaniem powstania — o której postępach wiedział Romanowski — jest nic nie znaczącą, według niego, za małą do tych zamierzeń, które jemu pierś rozsadzały. — Zatem już zrozpaczony prawie zwraca się do Boga: „Ty wiesz, czy takiem życiem ja żyć mogę?“ (I., 25). A pod adresem współczesnych rzuca słowa, będące niemal oskarżeniem:

Im słodki spokój płynie na skroń,
A mnie gra burza! (I., 46).

Przełamuje się wreszcie myśl buntownicza, a poeta z rezygnacyą pisze:

Umilknij serce, ty gadzie przeklęty,
Co mi wciąż łono poisz trucizn jadem!
Milcz, bo twój odgłos światu niepojęty,
Bo dziś szaleństwem iść za twoim śladem —
A czuć olbrzymio, to dziś pusta mrzonka,
Co jako świetlik po grobach się błąka. (I., 93)

Refleksya to chwilowa tylko. I nie mogła nie być taką jedynie. Zbyt długo nasiąkała dusza Romanowskiego myślą o wcieleniu wieszczego słowa, — zbyt silnym łańcuchem związany był patryotyczny ton uczuć z tym snem dni młodości, któremu na imię. czyn-burza. Nie mógł i nie chciał zapewne poeta przekreślić tej górnej inwokacyi do swojej pieśni, jaką był już pierwszy wiersz jego: „Modlitwa Polaka na wiosnę“ i późniejszy nieco p. t. „Do orła młodego“; nie chciał rozstać się z myślą, która była już nie narzuconą lub przejętą treścią, ale składnikiem nieodłącznym jego *ja* duchowego. Zresztą wiedział i czuł, że jeśli oderwie się od tego podłoża pieśni swojej, to wówczas z owego głosu, co świty jasne zapowiadał i wieścił zbawienie, przyjść będzie musiał do tej poezyi, która skrzydłem o niebo trąca i cichem natchnieniem wiąże serce z spokojem aniołów. A to w stosunkach okresu myśli narodowej, budzenia jej i cucenia — byłoby śmiercią tych idei. Więc twórca pochwytuje się, że takie powiedzenie sobie

„umiłuj serce“ — jest niegodne jego stanowiska. I tu treściowo przynależy ów wiersz, gdzie siebie poeta krytykuje:

Śpiewaku! tyś burzę zażegnać chciał precz,
Patrz! cisza nie wiedzie do celu — lecz wstecz!
Bo prawa odwieczne istnieją w naturze,
Że w życiu naprzemian są cisze i burze!

Jeszcze jednak za mało w tem znajduje usprawiedliwienia dla tonu swego Romanowski. Sam zatem mówi:

Szaleniec, kto zaraz po burzy chce burz,
Bo w sercu swem własnem utopiłby nóż...

Ale z drugiej strony rady innej nie widzi i wyjścia żadnego po za spełnieniem powinności orężnej dla sprawy ogólnej. Punkt kulminacyjny cierpień i mąk musi mieć swój kryzys. — Tu nie ma wahań żadnych. Bo trudno:

...kiedy skwar kwiaty do grobu już nagnie,
To chyba dziecina piorunów nie pragnie!

I oświadcza się stanowczo przy pierwotnym swym kierunku, stale za ton zasadniczy bez żadnych zastrzeżeń przyjmując pobudkę czynu. Bierze rozbrat z ckliwą i czułą nutą sentymentalnych lutnistów, pieweców miłości rzewnej i łzawych tęsknot, skarg bezsilnych i narzekań jękliwych. Zrywa strunę złotą, nawija na harfę stalową. Żegna tę niemocną pieśń — na zawsze:

O, żegnaj pieśni! pieśni ma złota!
Nie wiem, czy kiedy znajdziemy się
Na tej ciernistej drodze żywota...
Chwila rozstania zbliża się już!
Znikaj boleści! precz, precz tęsknota!
O, nie wstrzymujcie na drodze mnie,
Na drodze burz.

Od chwili wyżej podkreślonej refleksyi, przez owo zastanawianie się i obliczanie a ważenie walorów pieśni orężnej, aż po ostatnie żegnanie poezyi, nie będącej ogniwem łańcucha wieszczego śpiewu — to czas namysłu, gdzie się zwrócić po temat najbardziej do ówczesnych stosunków odpowiedni, najbliższy sercu. Możeby był poeta, co wtedy pierwszą miłość ziemską przeżywał (koniec 1854 r. i początek 1855), poszedł ku gajom kwietnym Akademosa

i z nich przyniósł dla siebie zadowolenie i spokój. — możeby u boku kochanki zanucił hymn wesela i beztroski, — możeby nawet nizał na struny swe perły uczuć tkliwych — ale ponad własne kochanie. ponad własne szczęście. ponad obłok marzenia — musiał odczuć. że

Inne dziś śpiewy, dziksze i krwawsze
Miotają sercem..

Moment dziejowy poczucie łączności z ogółem przezwyciężyły myśl jednostki. Powiedzieć sobie musiał ten ofiarnik: „Miast lutni: stal“ i oddtąd jedną drogą już iść. Ni szczęścia pragnąć osobistego, ni sławy i laurów poety — jeno posłannictwo twarde spełniać męża czynu. A do posłannictwa tego przygotowywał się z najwyższą ufnością w pomoc Bożą, w pomoc, krzepiącą ducha, by na krok nie zboczył z swej ścieżki, by nawet „mógł się patrzyć z wiarą w mogiły“.

Na męża urósł młodzian, mimo wczesnych lat swoich, a urósł nie tylko dzięki ukształtowaniu duszy na najlepszym wzorze służby Ojczyźnie, jakim byli romantycy, ale i nawet tu podkreślić to można, dzięki czasom, co wymagały od poetów nie słowa dźwięcznego. nie rymów składanych, ale treści, którąby była do rzeczywistości w stosunku takim, jak pobudka bojowa — do ataku bezpośrednio po niej następującego.

Istnieje jednak między poetą a otoczeniem jego rozdźwięk stanowczy. On pojmował każdą drogę za wiodącą do wytycznego celu, jakąkolwiek ona była: Widział ją w działaniu zapalnem, w modlitwie, wzywającej Boga o ziszczenie najśmielszych marzeń, w słowie podniosłem. Ale nie chciał uznać tylko zapatrzenia w przeszłość, tylko słów pustych błagania, tylko wyczekiwań samych. A niestety na to spoglądać musiał — a dodać także niezgodę stanów i grup, niezgodę nawet jednostek. Pierwiastka bohaterskiego, coby szczękiem broni obudził zmartwiałe pokolenie, które chlubnych bojów przeszłość miało — nie mógł dosłuchać w sercu biciu. To mu troską było i to bolem. Nie omieszka z tego spowiedzi jawnej uczynić w poezyi:

Mogitny pacierz ducha mi otacza,
Czuję w nim, jako serc tysiące gaśnie,
Jako tysiące drugich klnie, rozpacza!
Praojców wielkość w pokoleniach znika!

A rada na to — w czem? Odpowiedź jasna, że Romanowski na bezwład musiał lekarstwo znaleźć w burzy dziejowej — więc dlatego dobitnie określił swe stanowisko, że

„Każdy piorun, co grzmi i zapala,
Witam jak brata, na niebios lazurze.

A wpatrzonemu w tę przyszłość gromów i błyskawic, jawi się wreszcie wizya:

Tam w dali orzeł, wypłoszony z krzyża,
Skrzydła nad stepem do lotu rozszerza,

my zaś, jako naród:

z nim do nieba poślijmy pytania:
Orle! czy blizka chwila... zmartwychwstania?

Za śmiałe atoli wydaje się takie pytanie samemu poecie. Przecie to ledwo rok 1856; tak niedawne widmo klęsk jeszcze się na polską ziemią unosi. I stwierdza Romanowski, że raz „smutek i żałość — to zorza radosna“ mieniają role ze sobą, — a przesądzenie sprawy „kiedy uczynim swobodni oracze lemiesze z pałaszy skrawionych“ — nie raz jeszcze zajmie jego uwagę i zająć będzie musiało. Wróci wówczas, gdy on uświadomi sobie, że „na mogiłach z dawnych lat, śpiącej sławy rośnie kwiat“ — i wówczas, gdy zorzę płomieni zobaczy i pytać będzie z drżeniem, czy to już rzeczywiście „wiosna“.

A czas szedł i „owoc dostały łez czekał na pokos ofiarny“. Toczyło się już rozpędem koło przeznaczeń, siłą wewnętrzną pręce naród do zerwania się na bój ostatni. I ten wewnętrzny zew, nieokreślony i niewytłumaczony następstwem faktów historyi, podyktował i Romanowskiemu apel:

Aresie! naprzód na strasznym rydwanie
Z mieczem, z pochodnią, z włócznią zleć Aresie!
Bo milszem nam jest włóczni twych błyskanie
Od gnuśnej ciszy... Zleć, niech bój się wzniesie!
My postawimy naszych piersi męstwo...
Ty — daj zwycięstwo!...

I już po tym apelu nie ma żadnej niepewności, żadnych łamań wewnętrznych. — „Trzy sztandary“ (IV., 136), „niebieski“, „biały“ i „czerwony“ — przeciwników czynu, — obojętnych i jego

propagatorów, niechajby się spotkały — zdaniem poety — na jednym wspólnym gruncie, bo „Mocny mój Boże. gdzieżbyżto oni zaszli już byli, gdyby z trzech jeden sztandar zrobili“. Dalej po tem nawoływaniu do zgody przyjdzie czas na uświadamianie ludu w piśmie „Dzwonek“, gdzie pomieszczono dwa utwory o tej niedalekiej przyszłości, która liczyć miała i na najniższe warstwy ludności. — To przygotowania już więcej realne. Jakby już kości rzucone. Zaczyna się też odtąd wyczekiwanie, kiedy i gdzie stanąć trzeba będzie, by zaświadczyć, że to, co ongiś pisał Romanowski w listach do siostry o poświęceniu, o przynależności do szeregu szermierzy dla sprawy (list z d. 30 listopada 1857 r., cz. I., str. 49) — nie było tylko fantazyą młodziana, ale istotnem postanowieniem. Ono też, to postanowienie, aczkolwiek kilka lat przedtem w listach i poezyi wypowiedziane („Żegnaj mi, pieśni“), teraz jakby ślubowanie odnowione zostało, dla przypomnienia, że w poglądach poety nic się nie odchyliło od tej linii prostej, jaka szła przez twórczość jego od zawiązków samych, aż po wiersze ostatnie — nic nie uległo przeinaczeniom („Co tam marzyć“, IV., 84). Ale to tak było u niego. On miał pewność, że jakkolwiek losy zrządzą, to zawsze ruch wszelki — jak mawiał „burza“ — zmianę jakąś przyniesie. Nie przypuszczał, że zmianę na gorsze, bo wyobrażał sobie, że gorzej już być nie mogło, niż na przełomie lat pięćdziesiątych z sześćdziesiątymi. Lecz ogółowi, by go zagrzać, by porwać, trzeba nie filozofowań i nie rozważań, obliczeń wszystkich „za“ i „przeciw“ — ale trzeba dać jakiś pewnik, a jeśli nie pewnik, to przynajmniej prawdopodobieństwo. Trzeba przekonać, że „*audaces iuvat fortuna*“ — „na mężnych leży moc Boża“. I trzeba samemu mówić z taką wiarą, by ona i innym się udzielała. Miłość dla Polski, choć ona żywa w sercach, musi się z serc tych wyrwać, stawić niemal przed oczy, że istnieje i są dla niej obowiązki pewne i zobowiązania, bo

Tu groby ojców sława opromienia,
Tu śpią ich kości,
Tu nam się dobić po dniach utrapienia
Świętej wolności.
Tu przetrwać nam klęski i szarpać kajdany.
Tu rodzą nas Sawy, Pułascy, Rejtany,
I „hetman w sukmanie“, co kochał sukmany —
Tu żyć w miłości.

A wynik tego „poetyckiego dowodzenia“? Zawarły go wiersze ostatnie „Hymnu polskiego“:

W bój lećmy zwyciężać z nadzieją na stali,
Lub gińmy szlachetni. jak ojce konali —
Polski synowie!

Okres teraz następuje podniosłych inwokacyj do narodu, do młodzieży szczególniej. Musiały być rzeczy zapalne — na popularność obliczone, — więc i komunał niejeden w nich znaleźć można, w rodzaju, jak n. p., że „rozpaczać nigdy nam nie wolno“. lub że „wszystko czas skruszy — miłość się ostoi“. Lecz forma tego była piękna, górna; ośmiowiersz, choć nie wzorem oktawy robiony — gładki i płynny. — więc młódź owo „Na dziś“ powtarzała sobie z ust do ust i ku wielkiemu zadowoleniu Romanowskiego uczyła się go na pamięć (cz. I., str. 69).

Poeta począł mieć wzięcie w narodzie, — znać było, że pieśń jego teraz już nie była sztuczna i wykwitła na podłożu społecznem. jako kwiat jego i owoc zarazem. Ale też i twórca dawał się kierować odruchom ogółu i myśl swoją kształtował wedle myśli, przekonań i nastroju, panującego przemożnie. Bo kiedy pierwej, zaufany tylko w swoje siły i zasuggestyonowany swoim własnym śpiewem o czynie, już tylko ziszczenia jego wyczekiwał i ciszę klął, a modły oddające naród w moc Bożą, za „bezczynne“ uważał (IV., 70), — to obecnie. gdy nadeszła pora manifestacyj kościelnych, gdy Romanowski spostrzegł, że te manifestacye przecie krzepią ducha i przecie podnoszą zwątpiałych, ustąpił z dawnego stanowiska swego i „do modlącej Polski“ odnosił się z całą czułością, z zastrzeżeniem tylko, by nie „przesłyszała“ tego czasu, w którym trzeba będzie „dobyć oręża i stanąć na polach“. Biada bowiem, „gdyby, jak dewotka w kościołach, gromów przemodliła porę“.

Nie „przemodliła“ jej jednak, czego dowodem krwawe starcie procesyi z policyą w lutym 1861 r., — kiedy po raz pierwszy na placu Warszawy padły trupy pięciu męczenników. Okazało się wówczas, że silniejszą jest wiara, niż odwaga karnego żołnierza, mającego odwet w broni, którą nosi. Wszakci tu z krzyżem tylko stano naprzeciw strzałów. I zwycięstwo było większe, niźli myśleć można było, bo zwycięstwo czynu nad ideą samą. Teraz już prostą drogą na pole rozpraw ostatecznych musiano pójść — wezwania prowokacyi ominąć już nie chciał nikt. — To, co poeta pisał w „Modlitwie“, przeszło przez całą ówczesną literaturę piękną jak błyskawica, niosąca za sobą grom przeciągły. Ozwały się nawet miękie zawsze serca kobiece tonem tak męskim, że przy nich wstyd byłoby już mężom nie chwycić za pałasz czy karabin do pomsty.

„Dzwon pogrzebowy“ Deotymy, „Bóg z Wami“ Żmichowskiej, a Lenartowicza „Śpiew“ — to w innych tylko słowach treść ta, którą pod pierwszem wrażeniem na wieść pamiętnych dni lutego 1861 r. w spiżowe strofy zamknął Romanowski. A pewno i tym razem najdobitniej wyraził to, co nurtowało myśl polską. — Ponad ziemię niedoli szedł zew już ostateczny, nie nawołujący, nie krzepiący i nie przekonywujący, że działać trzeba — ale zew, co porywać musiał wszystkich, jak huragan:

W górę dłonie! niech okowy
Brzękną wraz
Okrzyk wrogom ponad głowy:
„Boże! czas!
Czas nam, Boże, strząść kajdany,
Czas wyleczyć nasze rany
Bo już szydzą z nas szatany.
A rozpaczy moc Ty znasz.
Boże nasz!

Dopełnieniem tego i dopowiedzeniem była „Pieśń młodej wiary“. To jakby „Oda do młodości“ tylko tych, których przeznaczeniem miał się stać smutny rok 1863. — jakby ostatni, łabędzi śpiew „Kościoła wojującego“ romantyzmu. Nie znam ani w poezyi całej XIX. wieku, ani w puściźnie twórcy „Dziewczęcia Sącza“, silniejszego i o większem napięciu wiersza, niżli ten właśnie. Tu odźwierciedliła się cała porywcza natura Romanowskiego, tu znalazł się i człowiek i poeta. Człowiek, pełen nienawiści namiętnej, łaknący nasycić swe oczy widmem zaciekłej walki i pognębieniem wroga, którego piętna dopatrywał się wszędzie, — a także poeta, stwierdzający tryumf swego słowa a spełnienie dążeń, przekazanych mu ręką duchowych przewódców narodu. Tu jest szczyt tego, co się rozwijało z biegiem lat w sercu młodego pieśniarza, co rozsadzało mu piersi i paliło żarem. To też nic dziwnego, że kiedy wyrzucił z siebie tę lawinę rozgorzałą — nie mógł się już zdobyć na coś jeszcze silniejszego, nie mógł sam siebie przejść. Została tylko rzeczywistość, której oddanie własnego *ja* mogło być czemś wyższem jeszcze. Ale to należało do tej przyszłości, która była już niedaleką. — „Utęsknione serce ją przeczuwa“, wie, iż już: „jutro burza, jutro rykną gromy“ (I., 7). Więc „z orężem czekaj nas wrogu“ (IV., 99). Tylko przedtem spokoju zaczerpnąć trzeba nieco, sercu powiedzieć, by „uciszyło sny swoje“, ale nie w tem znaczeniu, że zapomnieniem wszystko być miało, lecz gwoli temu, iż tam wśród zapasów śmiertelnych nie serce ma mieć głos —

jeno powinność, — i nie ono naznaczać czas starcia — tylko namysł. — I pojmuje Romanowski, że teraz już rola jego, jako śpiewaka, skończona. — czynu mu się realnego jąć należy. Party siłą jakąś przemocną. a także przeświadczeniem, że miecz w jego dłoni lepszą odda krajowi usługę, niż to może bardon. choćby najgórniej nastrojony uczynić, — kreśli *finale*, zaśpiew ostatni, żegnając pieśń czynu tak, jak ongiś żegnał pieśń wesela.

„Żegnajcie, pieśni! Przyszłość w ręku Boga,
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;
Wrzącym strumieniem krew po żyłach bieży,
Łono przebiega dreszcz — lecz serce wierzy.“

To uczynił, jako poeta, na dwa ledwo miesiące przed nocą styczniową. Człowiek zaś bez żalu rozstał się ze wszystkiem. rzucając na odchodnem wiersz lekki i swobodny („Na rozstanie“, IV.. 107), jakby nie na niepewne losy wojny szedł, lecz na igrzyska ćwiczeń. Nie dopatrzyć się tu nigdzie ani bojaźni. ani lęku, ani obaw na przyszłość. Nawet rezygnacya nie ma miejsca. — powtórzy się tylko raz jeszcze owo podkreślenie bezgranicznej ufności w sprawiedliwość boską, świadomość pełna. że „bojem rządzi Pan“.

Stało się, że właśnie w czas były te pożegnania, bo zbrojne powstanie wybuchło. Dwa miesiące ledwo był w niem Romanowski; legł pod Józefowem i przypieczętował krwawo rapsod swoich pieśni. Zaiste dziwne zrządzenie losów. A krytyka późniejsza i współcześni, co się w poezyi jego rozczytywali, zobaczyli w tym młodzieńcu wieszcza, który nawet w rymach swych śmierć przepowiedział sobie sławną. „Spotkanie“ i „Nową znajomość“ i słowa z wiersza „Do M.(ieczysława) P.“(awlikowskiego) [Kiedyś Cię tutaj znajdzie wieść skrzydlata, że w dzikiej walce zaginął szalony], i „Prośbę o orła“. i „Zachcenia“, przyjęto jako jasnowidzenie przyszłości, która zgon mu przyniesie. Zwracano na to uwagę czytelników, dosnuwano wiele, — pragnienie zostania na polu chwały uważano nawet za „zupełną nowość“.

Nam nie wydaje się to ani niezwykłem. ani nowem. a jedynem u Romanowskiego. Przed rokiem 1863 poezya wydała dość poetów o tem marzeniu ofiary. Wystarczy wskazać choćby Wiesława Znicza. — Naturalne też to było zupełnie. Przecie nie byli ci ludzie ślepymi, wiedzieli, że choćby z najwyższą wiarą szli. to tą wiarą nie dokażą cudu, — i jeśli parli do boju, to tylko dlatego, aby to był szczebel dla przyszłych pokoleń do osiągnięcia zupełnej

wolności. Chcieli złożyć ofiarę z krwi własnej — taką ofiarę, o jakiej pisał Romanowski w liście do siostry (cz. I., 49). Ta ofiarność też była nieodłączną cechą romantyzmu wojującego, — ona rwała Mickiewicza na Wschód, a Słowackiego w Poznańskie. Ona była — powiedzmy otwarcie i szczerze, jak nam się wydaje, — (choć może to zbyt śmiałe) — rehabilitacyą za rok 1831, kiedyto jeszcze poeci nie mając świadomości, co znaczy poświęcenie i ofiara swojego *ja,* zostawili kraj, co im wypominano nie raz słusznie, czy nie słusznie. — Przed rokiem 1863 zanadto już śpiew o czynie i ideologia samego czynu weszły w krew wszystkich, by ci, którzy go przepowiadali i o nim mówili, mogli i mieli prawo się cofnąć potem, gdy przyszedł czas realizacyi. Skoro więc tak, to i przygotowani musieli być na dary wojny. Ztąd czyn i mowa o nim łączyły się z mową o śmierci, — Nie przeczucia więc żadne, nie przewidywania, ale zupełnie logiczne następstwo rzeczy. Inna sprawa, że Romanowski, jako liryk *par excellence,* umiał ten ton doskonale zaznaczyć w ogólnym akordzie, że wydobywał go wówczas, gdy stłumił „*forte*“ całej kompozycyi, że wreszcie używał go jako łącznika między „poezyą dla ogółu“ a „poezyą dla siebie i Muz“. To już u niego charakterystyczne i jego wygrana. Kiedy jednak o pobudki idzie, o wskazanie źródła tej mowy, dla niejednych tajemnej, dla innych rozbrajającej i tkliwej — to nie można jego samego i jego oderwanej myśli brać pod uwagę, — ale tak, jak i całą twórczość związać z jednym początkiem, któremu na imię: romantyzm.

W romantyźmie też znajdzie się klucz do zbadania rzeczy wiary Romanowskiego. Nie jest ona zawiła, ani trudna do ujęcia. Nie było bowiem w niej żadnych pierwiastków obcych, żadnych odchyleń, polegających na jakiemś wnikaniu w tajniki dogmatów, przeciwstawianiu się im lub stawianiu jakichś tez, nie sankcyonowanych przez Kościół. I bez obawy narażenia się na zarzut podsuwania „czerwonemu“ Romanowskiemu wiary głębokiej — stwierdzić można, że był on religijnym, nawet bardzo religijnym, tak, jak to z tradycyj jego szlacheckich przypadło mu w udziale. Ciągle znajdzie się niego zwrot ku Bogu, taki szczery, z serca płynący, na jaki zdobyć się może tylko ten, kto ma przekonanie, że Stwórca i duchem ludzkim włada i dziejów koleją. „Modlitwa“ (IV., 11), „Prośba“ (IV., 13), wiersz na obchód żałobny za poległych w Warszawie (IV., 16), „Do Zofii R.“ (I., 123) i „Zbolałej“ (I., 127) — są dowodem ciągłej myśli o Najwyższym Władcy, koicielu smutków i trosk, mścicielu krzywd i Ojcu najlepszym. —

Lecz wiara taka nie szła u Romanowskiego równolegle z formalistyką. On przekonania miał tak pewne, że kwestyonować ich nie sposób: co do praktyki religijnej, — z tonu poezyi można wnosić wiele. Przedewszystkiem człowieka oddzielić tu trzeba od głosiciela haseł, od poety o zapalnem sercu. Bo ten ostatni uważał się tylko za narzędzie wyższej siły, która nim włada. Mimo to jednak „Krzyż" stawia na równi z „orłem" (Do... „Prośba o orła". IV., 70), religię z narodowością. Że zaś powie:

Dość już tych modłów bezczynnych do Boga!
Walk nam nie wolno dla Krzyża pominąć:
Jam ptak — od Boga szablę mam na wroga.
Mnie walczyć — w walce, patrząc w słońce, ginąć...

to z tego nie wynika bynajmniej, by zatracił wiarę samą, jako taką. To w chwili rozgoryczenia na bezczynność współbraci nasunęło mu się pod pióro, — wzmiankowaliśmy atoli wyżej, że w ewolucyi swojej poetyckiej pogodził się Romanowski z ogólnym nastrojem i własnemi słowami zaprzeczył treści cytowanego czterowiersza. — Podkreślił natomiast silniej, że o formalistykę mu tylko szło, mówiąc o Polsce, jako „dewotce".

Zresztą tutaj wychodzi na jaw ten znamienny fakt wysuwania jednego uczucia i jednej idei ogólnej ponad wszystkie osobiste, a zarazem grupowania koło tej idei całej reszty świata zewnętrznego i wewnętrznego. Tak samo bowiem, jak był gotów formę przestrzeganą w Kościele i konieczną do ujawnienia przekonań — pominąć, gdyby to pominięcie było konieczne do wsparcia dominującej w umyśle jego i sercu idei patryotycznej, — tak samo — powtarzam — własnych uczuć erotycznych nie wahał się zepchnąć na plan ostatni, gdyż — zdaniem jego — przeszkadzały mu one w poetyckiej misyi. Romanowski sam, jak bohater „Ptaka wędrownego" (I., 203), nie chce zostawiać braci dla kochanki, porzuca ją, bo:

Ja ciebie tęskne, niewinne dziecię
Nie porwę z sobą na burze.
Więc ramion moich strzeż się, jak gadziny,
A wspomnień o mnie, jak czarta...

Mówiliśmy już o tem, że Romanowski wyrzekł się dobrowolnie osobistego szczęścia. — nie analizowaliśmy tylko usposobienia poety pod tym względem, czy dobrowolne to wyrzeczenie nie zostawiło u niego smutku lub zgorzknienia. — Bo też nie przejawiło się

to w jego liryce bojowej. Wyraz natomiast żalu i rozsmętnienia człowieka, odległego od tych danych, które świat rozrzuca hojnie wszystkim — znalazł się w erotykach bezbarwnych i niekiedy naiwnych, jako dzieła sztuki, nie mających żadnych wartości, ale szczerych w kilku momentach. Ta szczerość jedynie szacowna w całym tym, nielicznym zresztą dziale liryki Romanowskiego, odsłania rąbek tajemnicy serdecznej, pragnienia ciszy i odzewu bratniej duszy. Skarga się czasem wyrwie poecie, gdy mówi do kochanki: „Czemuż tak cicho z Tobą ramię w ramię nie wolno przejść mi przez życie“ (I., 63), lub gdy znużony naprawdę goniącą zawsze w bezkres myślą, zatrzyma się na jakiemś „wspomnieniu“ (I., 73) i powie:

Odetchnąć pragnę; niechajże mi głowę
Otoczą cichy sen i zapomnienie.
Noc rzuca kiry na drogi krzyżowe,
Na których życia nagrodą — znużenie...
Młodości! Twoje tęcze koralowe,
Twój płomień daj mi na chwilę śnienie
Błyśnij nademną twymi błękitami!
O, gwiazdy moich marzeń — jestem z wami!

Widać z tego, że ofiara poety musiała być powodem ciężkich zmagać duchowych człowieka, który wybiegał ku życiu, a który wreszcie zawyrokować musiał, że „straszna wiosna ma“ (I., 97). Rzeczywiście straszna ona była, choćby samem przeświadczeniem już, że sprawy osobiste i uczucia wszystkie zostały po za nim. Poeta z lutnią wprawdzie, ale bez serca człowieka został na grobie własnych idei i marzeń. Miał za to wielkie gorejące serce miłością społeczeństwa i narodu — i najwierniejszą kochankę: Ojczyznę.

Tyle rzecby można i należało o toku myśli i rozwoju liryki Romanowskiego. Na plan pierwszy wysunięta jego żądza boju, przeniesiona do utworów poetyckich, związana w ideową całość z przekazaniami romantyzmu, wpływająca bezsprzecznie na stosunek samego poety do dwu najważniejszych w twórczości czynników wiary i miłości — nie mogła nie zostawić śladów na wierszach Romanowskiego pod względem miary ich artystycznej. Poeta tego pokroju, co on, nie czynił i nie chciał czynić poezyi snów swoich tęczowych tłumaczką, nie szło mu i nie mogło iść o samo piękno. To był poeta tendencyi. I jeśli stwierdzenie tego będziemy mieli zawsze w pamięci przy czytaniu lirycznych jego utworów, zoba-

czymy, że po za tą celowością — nie wiele da się ocalić dla sztuki czystej. Fantazya, którą okrasą jest najwyższą twórcy, nie ma lotów szerokich u autora „Na dziś“. Nie stworzył on prawie żadnego obrazu. wysnutego z myśli własnej, nie powiódł nas w krainę zjaw swoich i zwidów. A jeśli te miał i lotnych mar nie schwycił — to znak, że nie był twórcą, świadomym znaczenia takich elementów. Dwa szkice, z tego zakresu powstałe: „Nowa znajomość“ i „Anioł upadły“, nie były fantazyą bezpośrednią, fantazyą samorzutną. Tu zaciężyła lektura — jedyny może odskok Romanowskiego w kierunku Byrona, i to poznanego nie wprost, lecz przez Słowackiego, w ktorym się rozczytywał, czego dowodem wpływy, zaznaczone przy omówieniu jego epiki.

Pod względem czysto formalnym wielka jest niejednolitość w zbiorze utworów Romanowskiego. Nie mówimy o pierwszych próbach, które z samej natury rzeczy musiały być słabsze tak pod względem słownictwa, jakoteż wersyfikacyi, — dość jednak wziąć dwa lub trzy wiersze z czasów późniejszych i zestawić je ze sobą. Zdarzy się, że n. p. obok silnej i dojrzałej już improwizacyi „Umilknij serce“ stanie naiwny i płaski „Kwiatek“, obok „Zbolałej“ — „Posyłka“. Czasem wprost wierzyć się nie chce, że te rzeczy wyszły z pod jednego pióra.

A porównania i obrazowanie? Tu można podkreślić tylko wielką zależność od Słowackiego. Owe ciągłe zestawienie siebie z ptakiem — i lotem, „drżenie harf złotych“, skierowanie dróg „to w niebo — to w piekło“, wreszcie tak wyraźna reminiscencya z „Ojca zadżumionych“, jako „żem nie miał nad sobą już nic oprócz Boga“ (I., 107) — mogłyby się złożyć na osobny rozdział o wpływach i zależności Romanowskiego od twórcy „Króla Ducha“. — Jest atoli i w naśladownictwie różnica, a raczej nie tyle różnica, ile niezdolność podchwycenia, na czem u Słowackiego polegała barwność w obrazowaniu. Nie spostrzegł Romanowski tych ciągłych dygresyj opisowych świata przyrody — a nie będąc sam czułym z natury na to piękno (dowodem tego uciekanie ciągłe ze wsi do murów miasta), nie pokusił się nawet jako artysta o wprowadzenie go do swych poezyj. Ledwo w kilku miejscach wplecie w wiersz wrażenia swoje, jakie odniósł z wycieczki na Czarnohorę (I., 126; IV., 139, 141, 199), lub namaluje obrazek żywszy (I., 74. 128, 136).

W ogóle powiedzieć można, że liryka, która była przejawem patryotycznego uczucia, pełna słów silnych i zapalnych, przygłuszyła wszelkie inne tony harfy Romanowskiego. Było to ze szkodą

dla niego, jako dla poety i artysty, — jest też ze szkodą dla literatury pięknej. Bo jak z jednej strony nie sposób nie pochwalić podniosłości myśli szlachetnej, tak znów z drugiej nie można niewytykać jednostajności, przechodzącej w monotonność, a także zaniedbania się pewnego samego twórcy, który więcej wagi do treści przykładał, niźli baczył na to, że poezya jest sztuką, gdzie Piękno wielkie i czyste ma również swoje prawa.

Stanisław Lam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Siła fatalna“ poezyi Słowackiego.

Przyczynek do sławy pośmiertnej poety.

(Dokonczenie.)

XVI.

A to samo uczynili i najznakomitsi prozaicy, z Sienkiewiczem na czele! O wpływie, jaki Słowacki swą poezyą wywarł na polską prozę ostatniego 50-lecia, pięknie i głęboko pisze prof. Tretiak w swej znakomitej monografii o Słowackim: trudno w tej kwestyi powiedzieć więcej i lepiej. „Poezya Słowackiego — pisze Tretiak — była szkołą muzykalności i malowniczości języka dla nowszych poetów naszych od Asnyka do Wyspiańskiego, a i znakomitsi powieściopisarze nasi od Sienkiewicza do Żeromskiego wiele zawdzięczają tej szkole, jako koloryści. I jak poezya Kochanowskiego, przez trzy wieki nieprześcigniona, aż do czasów Mickiewicza była najwyższym, zbyt często, niestety, zaniedbywanym wzorem języka i wiersza polskiego, tak i poezya Słowackiego, ten „posąg, co błyska skrami“, „lśni, jak mozajka, śpiewa, jak słowiki“, będzie niewątpliwie na długie czasy dla piszących po polsku najwyższą artystyczną szkołą języka polskiego. Ale byłoby niesprawiedliwie dodatni wpływ poezyi ograniczać tylko do formy... Słowacki łudził się, gdy wierzył, że jego Genesis z Ducha

jest alfą i omegą świata, że od jej poznania i powszechnego uznania zależy zbawienie narodu i ludzkości: ale to, że jego fantazya chciała ogarnąć wszechświat, przeniknąć wszystkie tajniki przyrodzenia, odnaleźć się na wszystkich szczeblach rozwoju życia przyrody i widzieć w niej jedną rodzinę, dążącą do swego Ojca, źródła wiecznej miłości i prawdy: ten zamiar, ten wspaniały rozmach skrzydeł jego fantazyi, choć z Ikarowym miał spotkać się losem, rozszerzał jednak horyzonty naszej poezyi nieskończenie i otwierał przed nią nieznane dotychczas drogi. Ów zaś węzeł głębokiej sympatyi, który go wiązał z przyrodą, i dzięki któremu mógł on stać się nieporównanym tłumaczem jej piękności, oddziałał z ogromną siłą na pogłębienie poczucia natury u naszych poetów, a może więcej u nowelistów i powieściopisarzy z ostatniej ćwierci wieku. Nie wspominając innych, dość wymienić Sienkiewicza, Orzeszkową, Sieroszewskiego, Żeromskiego, aby uprzytomnić tę różnicę, jaka zachodzi w pojmowaniu natury między dawniejszem pokoleniem nowelistów naszych, któremu przewodniczyli Kraszewski i Korzeniowski, a nowszem, które się już kształciło pod wpływem poezyi Słowackiego.“

Najwidoczniej i najświetniej odbił się wpływ ten na twórczości Sienkiewicza. Wszystko bowiem, co Słowacki wprowadził nowego do języka i poezyi, autor Trylogii zużytkował w swej epickiej prozie. Szczególniej, gdy idzie o polszczyznę, o jej kolorystyczną barwność i zdolność suggestyjną. Pod tym względem był Sienkiewicz jednym z pierwszych, który się na tych artystycznych pięknościach i zaletach języka Słowackiego poznał i przejąć niemi potrafił. A że to sobie, olśniony poezyą Juliusza, uświadamiał doskonale, tego dał dowód w swej mowie przy odsłonięciu pomnika Słowackiego w Miłosławiu, w której przedewszystkiem na język poety położył nacisk. „Zdawać się mogło — mówił tam między innemi, — że po Mickiewiczu i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt nie potrafi jej przysporzyć. A jednak znalazł się poeta, który to uczynił... mianowicie Słowacki. Tak jest. On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających brylantów i obsypał i przyozdobił niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w nieznanym dotychczas przepychu, blasku i majestacie, niby Harfa-Królowa, przed którą gną się

kolana ludu i chylą czoła, jak oni przed harfą Dawida. I oto część jego chwały, jego zasługi, jego wielkości. Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą się pytały ze zdumieniem i podziwem, jak zdołał i mógł to uczynić. A przecie uczynił! Zdołał, bo poezya w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko umarłym na nic skarby i klejnoty. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej, co się ma najdroższego, w ofierze; ta zaś królowa, którą on obdarzył, była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna."

Pierwszem pokoleniem, które obficie czerpało z tych skarbów poezyi Słowackiego, była właśnie generacya, do której należał Sienkiewicz, tym zaś, którego te skarby wzbogaciły najbardziej, był niewątpliwie autor Quo vadis.

Jak wcześnie Sienkiewicz był już pełen uwielbienia dla Słowackiego, a zarazem jak wcześnie był już pod wpływem autora Beniowskiego, dowodzi chociażby jego list do Konrada Dobrskiego, datowany d. 28 września 1865 r., a zawierający już taki ustęp z powodu pierwszych prób literackich: „Bijąc w to, że to jest pierwszy utwór młodocianego autora, powtórzę w takim razie za Słowackim: Krytykom, jak psom, rzucam parę kości... z Beniowskiego mądre słowa; ale trudno się czasem do nich zastosować, zresztą powiedzieć je może tylko ten, kto ma śmiałość wyrzec: Ja syn pieśni, syn królewski..." We dwa lata potem (a w rok po wydaniu przez Małeckiego Pism pośmiertnych Juliusza) napisał Sienkiewicz, jako student Szkoły Głównej, poemat wierszem, którego wprawdzie nie dokończył nigdy, który jednak rozpoczynał się od następującej aluzyi do Beniowskiego i jej autora:

Sam nie wiem, jak mam weną poetycką władać,
Jak wiersze, strofy, zwrotki i rymy układać:
Czy, szanując pojęcia w sztuce prawidłowe,
Ubrać swe myśli w szaty trzynastozgłoskowe,
Czyli też, Słowackiego zachwycony sławą,
Porzucić heksametry, a pisać oktawą...

„Zachwycony sławą Słowackiego" Sienkiewicz, przez całe życie był jego gorącym wielbicielem, o czem najłatwiej mogli przekonać się ci, co z nim mieli sposobność rozmawiać o literaturze, poetą bowiem, o którym zawsze mówił najchętniej (po za Szekspirem i Homerem), był Słowacki: utworami zaś, z których całe ustępy umiał cytować z pamięci, o których czynił różne cenne uwagi, były szczególniej Beniowski i Lilla Weneda. Wszyst-

kie chóry z Lilli Wenedy umiał na pamięć, a wiersz „błyskawicowych chmur rzygnęły płuca“ cytował zawsze, jako przykład, jak nawet wyraz wulgarny może się stać patetycznym, jeśli jest umiejętnie użyty przez poetę. Z postaci Lilli Wenedy najbardziej mu się podobała realistyczna figura Ślaza, którego wszystkie, nawet najdłuższe przemówienia, recytował z pamięci, a który niewątpliwie jest też praszczurem Rzędziana w Ogniem i mieczem, a poniekąd także i Zagłoby.

Pozatem były jeszcze dwa utwory Słowackiego, o których Sienkiewicz mówił często, z których raz po raz cytował ustępy lub poszczególne wyrażenia, to: W Szwajcaryi i Książę Niezłomny.

Utwory te nie pozostały też bez wpływu na twórczość Sienkiewicza: W Szwajcaryi na jego nowelę Przez stepy, a Książę Niezłomny na Niewolę tatarską. Pierwszym, który na to zwrócił w swoim czasie uwagę, był Tarnowski w swym rozbiorze nowel Sienkiewicza p. t. Z najnowszych powieści polskich, drukowanym w r. 1881 w Przeglądzie Polskim. W ocenie Niewoli tatarskiej pisze Tarnowski między innemi, co następuje: „Jego pan, znaczny jakiś Tatar, upodobał sobie jeńca, a miał córkę, ładną i dobrą Iłłę, która też łaskawem okiem na niego patrzała. Chciał mu ją dać za żonę, byle przyjął muzułmańską wiarę. Jeniec nie chce. Za tę krnąbrność i wzgardę mści się bisurman. Jak Książę Niezłomny, Kalderona, tak ten towarzysz pancerny pogrążony jest teraz w ostatniej nędzy i poniewierce. Sami towarzysze niedoli proszą go, żeby przez litość nad nimi udał, że wyznaje Proroka, i jego czasem różne opadają pokusy, ale trwa w wierności, pamiętny, że ojciec uczył go niegdyś: gnij się z bólu, ale się złamać nie daj!“ Nie ulega wątpliwości, że o wpływie Księcia Niezłomnego na Niewolę tatarską da się napisać osobne analityczne studyum. Niemniej wdzięcznym tematem do takiegoż studyum literackiego będzie niezaprzeczony wpływ na tę nowellę Sienkiewicza pieśni VIII., IX. i X. Beniowskiego, obejmujących misyę Beniowskiego na Krym z poselstwem do tatarskiego hana Gireja, gdzie Beniowski również dostaje się do niewoli tatarskiej, a gdzie tak samo, jak Imci pan Alexy Zdanoborski zyskuje miłość córki bogatego Tatara, on zyskuje sobie sympatyę syna hana Gireja, i dzięki temu zyskuje możność ucieczki. Przez czas jednak, gdy pozostawał w niewoli, tak samo, jak bohater nowelli Sienkiewicza, przechodził równie srogie katusze, jak Książę Niezłomny.

W mogiłce Szecha (był to grób ozdobny
Na górach, z białą kopułą glinianą)
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny
Do męczennika, bowiem go związano...
. . . .
Sam jeden leży na glinie i wzdycha,
Któż mu w nieszczęściu srogiem dopomoże?
Nad nim okropna zemsta...
. . . .
w tym grobowcu był katakumb drugi,
Gdzie krwią okryty i potem i pyłem,
Mój rycerz leżał na ziemi, jak długi
. . . .

Wszystko to da się odnieść i do bohatera *Niewoli tatarskiej*, zwłaszcza do rozdziału IV. tej niezrównanej nowelli.

Ale i pewne szczegóły są tu i tam te same. Zarówno Beniowski, jak i pan Zdanoborski, najchętniej przechadzają się brzegami morza, a obaj też są świadkami iluminacyi w mieście tatarskiem, przy świetle miesięcznem. U Sienkiewicza czytamy: „Tatarowie, gdy noc zapadła, pozapalali owe wspomniane lampki weneckie, któremi całe miasto ozdobili... A było to w samą pełnię...“ W *Beniowskim* zaś

...miasto było w świateł roju
I różne wieńce nad niem, jak słoneczne
Wisiały, różne z tatarskiego łoju
Ramazanowe lampy i świąteczne
Z różnych szkieł różnie na niebie świecące,
Jak wieńce z kwiatów na szafiru łące.

Bo minarety, co je w niebo niosły,
Tak były lekkie, jakby owe kwiaty
Bez łodyg żadnych i pni same rosły,
Albo latały; a tak był bogaty
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły
I odwracały się na bledsze światy,
Na morze, co swój włos, jak owca wełni,
I srebrem błyska, *lub na księżyc w pełni.*

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie
Minaret, jakby jaki anioł smętny,
Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie
Tem milszy oczom, że był nie natrętny.

W rozdziale III. *Niewoli tatarskiej* znajdujemy identycznie ten sam obraz. Oto, jak tam pisze Imci pan Zdanoborski,

z powodu handlu Tatarów krymskich z Germeńczykami i Wenecyanami: „Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni, łojem baranim napuściwszy i świeczki zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonej liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od owych świateł białych, różowych, zielonych i modrych, jakoby w powietrzu nocą wiszących, cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby na chwałę Bożą był obrócony!“"

Podobnie ma się z wpływem W Szwajcaryi na Przez stepy. Tymczasem w r. 1881 tak w tej kwestyi pisał Tarnowski: „Są tu bardzo ładne sceny, miłosne oświadczenia i uniesienia na tle ślicznych opisów natury; ale czy to, czy eteryczność tej Lilian, która także była „jak z tęczy i z potoku piany“, czy jej śmierć może i żal tego męża, który także czeka, aż dusza „stęskni się i wyjdzie ze mnie“, nie wiedzieć, czem przypomina to Słowackiego Szwajcaryę, a Szwajcarya, rozciągnięta na długą powieść i pisana prozą, pomimo bardzo ładnych ustępów, choć może tamtą przypomnieć, to na przypomnieniu tem stracić musi.“ [1])

Utworem jednak, na którym wpływ Słowackiego odbił się najsilniej, jest Trylogia Sienkiewicza, na co już w r. 1900 zwróciłem uwagę, zaznaczając, że „obrazowość Trylogii bardzo często ma w sobie coś z obrazowości Beniowskiego, zwłaszcza pośmiertnego, i Złotej Czaszki“ [2]). W swoim pięknym odczycie O twórczości Sienkiewicza prof. Kallenbach szeroko rozwinął ten motyw, wykazując, ile figur, sytuacyj i pomysłów z Trylogii znajduje się, jakby w zarodku, w Beniowskim. I nietylko w Beniowskim! Bo nie należy zapominać, iż Słowacki, oprócz Mazepy z tak realistycznie pojętą figurą Jana Kazimierza, jest autorem dramatu o Janie Kazimierzu, w którego dochowanych fragmentach w scenie VI., występuje Jeremi Wiśniowiecki w oblężonym Zbarażu, a szlachcic Harmider, wzorowany na szekspirowskim Falstafie, niesłychanie zbliżony jest, jako typ, do Zagłoby.

[1]) Gdym w r. 1900 w mych Szkicach i opowiadaniach zaznaczył ten wpływ W Szwajcaryi na Przez stepy, prof. Wiktor Hahn w Kwartalniku historycznym, w recenzyi mej książki, podał pogląd ten w wątpliwość, pisząc: „Trudno też dopatrzeć się w noweli Sienkiewicza Przez stepy wpływu poematu W Szwajcaryi...“ (Kwart. hist. z r. 1900, str. 489).

[2]) Prof. Hahn jednak w pomienionej recenzyi „nie widzi wpływu Beniowskiego i Złotej czaszki na Trylogię Sienkiewicza“.

Słowacki też jest autorem *Snu srebrnego Salomei*, gdzie główny bohater Sawa ma wiele cech pokrewnych z dzikim Bohunem. W ogóle Słowacki jest autorem, który z upodobaniem malował życie kozaków ukraińskich, począwszy od *Żmii*, „hetmana niżowego“, i *Dumy o Wacławie Rzewuskim*, a skończywszy na *Wacławie* i *Beniowskim*, gdzie „ziemia stepów gładka, cicha“, a pełna wspomnień wojennych, tak ujmująco jest przedstawiona. To bowiem, co jest poetycznego w tradycyach kozacko-ukraińskich, we wspomnieniach Siczy, Dniepru, Czertomeliku, Baru etc., od Chmielnickiego aż do Sawy i Beniowskiego, a co stanowi poetyczne tło i pejzaż w *Ogniem i mieczem*, — to wszystko przez nikogo, aż do Sienkiewicza, nie zostało odmalowane plastyczniej, z większem życiem i zrozumieniem charakteru kozacko-tatarsko-ukraińskiego, jak przez Słowackiego w wymienionych utworach. A że to wszystko zapładniająco oddziałało na Sienkiewicza, jako autora Trylogii, na to aż nadto znajduje się dowodów w *Ogniem i mieczem* i *Potopie*, a także i w *Panu Wołodyjowskim*.

Jak w „rycerzu bez skazy“ Skrzetuskim nie brak rysów, odziedziczonych po Księciu Niezłomnym, tak niewątpliwie Janusz Radziwiłł ma wiele pokrewieństwa z *Wacławem* Słowackiego, a opis śmierci Radziwiłła ma w sobie wiele ze śmierci „grafa Wacława“. Ci dwaj „zdrajcy“ bardzo są do siebie podobni. A Kmicic, czy nie ma w sobie czegoś z Beniowskiego? W każdym razie jego zabiegi o Oleńkę mają wiele wspólnego z zabiegami Beniowskiego o pannę Anielę, jak w ogóle nie brak scen w *Potopie* między Kmicicem a Oleńką, które jakby się już znało z Anielinek.

A cóż dopiero powiedzieć o wielkiej scenie z pieśni XIII., gdy Beniowski, po całym szeregu przygód konfederackich, zbiedzony, obdarty, do żebraka raczej, niż do rycerza podobny, w końcu przyszedł pożegnać się z Anielą, czując się jej niegodny.

Beniowski stanął przed panną Anielą:
Lecz jak zmieniony, ach! w jakim żupanie!
Jak żebrak: łokcie podarte się bielą,
Guziki wiszą, buty... Boże, Panie!
Jak wieloryby, kiedy się ośmielą
Wyjrzeć nad morza błękitne otchłanie
I westchnąć. Taki... ach! czy moje usta
Wymówią... stanął nakształt drapichrusta!

Aniela zlękła się: bo nigdy w życiu
Nie wystawiała sobie bohatera
Kochanka w takiem okropnem rozbiciu
Majątku. A on, żałośny Kostyra
Stał przed nią, w strasznem bardzo nieutyciu,
Pół Don-Kiszota, a pół króla Leara,
Bowiem zupełnie był bez przytomności,
Jak Lir, a skórę miał tylko i kości...

. . . .

Otóż Beniowski mój powrócił z Wschodu
Właśnie, jak *veto* żywe, lecz obdarte
I biedne; doznał pierwszego zawodu,
Przewrócił tego świata pierwszą kartę
I przyszedł, jako nędarz, do ogrodu
Pokazać serce, które więcej warte,
Niż to, co za nie dawali na świecie
Ci, co kupują serca na tandecie.

Mroczny, wstydliwy, z pochyloną głową
Po przywitaniach pierwszych rzekł: „Hrabianko!
Przyszedłem wrócić tobie twoje słowo,
Oddać pierścionek; żadną odtąd wzmianką
Nie będę trudził twych myśli; grobową
Ziemią zasypię oczy. Podolanko,
O, Podolanko piękna, bądź mi zdrowa!
Daruj, że w takim stroju, takie słowa..."

Tu zaczął jąkać się, bo kawalerstwo
Żywe lękało się w nim jakiej wzgardy.
„Daruj, rzekł, dawne z twem sercem braterstwo,
Dawne twe łaski, a teraz los twardy
I moje, patrzaj, żebrackie żołnierstwo,
I różne życia mojego azardy,
Szczęście wczorajsze i ta, co mnie pędza
Po czarnym świecie, ta dzisiejsza nędza.

Gdy porównane w twojej myśli staną,
Może wycisną łzę, o moja Pani!
Bądź mi na wieki teraz pożegnaną,
A nie idź za mną, bo ja do otchłani
Idę." To mówiąc, twarz swą obłąkaną
Obracał wszędy, jakby go szatani
Ścigali, nawet nie dając pokoju
U stóp kochanki, przy brzęczącym zdroju,

W pasiece leśnej. A do niego ona,
Z oczu zdziwionych czyniąc słoneczniki.
Bo słońcem była źrenica zatlona.
A rzęsy pełne pereł, jak promyki

Świeciły w koło; a głos z głębi łona
Wychodził cichy, lecz straszny i dziki
„Co? rzekła, potoś przybył i mnie z domu
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,

Abym słyszała, ja, która tak wiszę
W powietrzu, jako ta smętna kaskada,
Abym słyszała to, co teraz słyszę,
Że skała, z której ja lecę, upada?!
Ty, coś mi sercem Czarnego Zawiszę
Przypomniał, ty wódz tego ludzi stada
Ty, przez tę szlachtę z wszystkiego odarty
Sam drzesz ostatek szczęścia? Cóż ty warty?

Powiedz, więc i ty na sercu kaleka?
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje?
O trup ty! stójże odemnie zdaleka,
Bo ja się próchna i robaków boję.
Cóż ja kochałam, kochając człowieka?
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję
Jak nad przepaścią jaką, sama jedna
I opuszczona wiecznie, o, ja biedna!

Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,
A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła, jak z miesiąca,
Siostra i matka razem, i służąca.

Musi być jakaś okropna przyczyna
Tego rozdziału, tej bolesnej rany,
Którą mi dajesz w serce; bo ta sina,
Bo ta wychudła twarz i te łachmany,
Na które patrząc, strach mi głos ucina,
Są przecież ludzkie; a ty, jak szatany
Zimny, choć oczy twoje łzą zabiegą,
Masz w skrzących oczach coś nieczłowieczego!

Powiedz mi, zkąd ten blask i takiej dumy
Rys na twem czole? Co? Tyś przeciw Bogu
Wstał?...“

Cały sentyment wszystkich scen w Potopie między Kmicicem a Oleńką, zwłaszcza gdy Kmicic jest Babiniczem, zawarty jest w tej scenie między Anielą a Beniowskim, nie mówiąc już

o tem, że jak Olenka zda się być rodzoną siostrą Anieli, tak „żywe kawalerstwo“ Beniowskiego uderzająco jest podobne do kawalerstwa Kmicica.

A to samo da się powiedzieć i o towarzyszach Kmicica, dziwnie podobnych do towarzyszów Beniowskiego. Gdy Beniowski, w tejże XIII. pieśni poematu, z omdlałą Anielą na ręku, każe swym ludziom schwytać księcia Lubora i Sybillę Dafnicką, zupełnie ma się wrażenie, że to jakaś przygoda w Wodoktach drużyny Kmicicowej, Beniowski — opowiada tam poeta — wnet poszedł do głowy

Po rozum i choć, zda się, nie wart grosza
Żebrak, postąpił, jak hetman niżowy,
Ludzi dobywszy sobie zaraz z kosza;
Wystrzelił, a na strzał pistoletowy
Zbiegła się jakaś okropna wołosza
Różnego stroju, barwy, różnej broni
Ludzie, od których człek uczciwy stroni.

Ci wszyscy, słuchać nauczeni gestu.
Poszli na wzgórze, i po krótkiej chwili
Brzęku, bo książę bronił się...
Jako rycerskie pozwalały czasy
Z parą tych jeńców żywych poszli w lasy.

Za nimi poszedł Beniowski, a krzywa,
Zda mi się, bardzo teraz jego ścieżka.
A przy Anieli sennej niańka Diwa
Płakała. Taka w tym kraju zamieszka
I taka była wtenczas nieszczęśliwa,
Krwią zamięszana różnych żądz lemieszka,
I taki rycerz mój, co po buzdygan
Idąc, zaczynać musiał jako cygan.

Zupełnie, jak w Potopie Sienkiewicza, gdzie również nie brak sceny, że Oleńka „zwisła bezwładnie“ na ramieniu Kmicica (który ją wziął na ręce tak lekko, jak dziecko), która to scena wielce przypomina scenę, gdzie Aniela, od nadmiaru wzruszenia w czasie rozmowy z Beniowskim, mdleje mu w ramionach.

„Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy,
Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodzący boży,
Głowie, co na twej piersi się położy.

Ja... kiedy patrzę na świata pustkowie,
Kiedy... a wszystko obejrzałam wzrokiem,
To czuję, że to jedyne wezgłowie
Ta pierś oblana moich łez potokiem...
Tu na kamieniu tym żałosnej głowie
Pozwól poleżeć, reszta jest obłokiem,
Reszta jest niczem, ten świat, ziemia cała..."
Jękła, przegięła się wpół i omdlała.

Beniowski w trudnej bardzo pozyturze
Stał, bo ją trzymał wpół upadającą...

A jak Potop, tak samo nieraz i Ogniem i mieczem przychodzi przy czytaniu Beniowskiego na myśl. Gdy Słowacki w ostatniej oktawie pieśni VIII., powiada:

Znów do krymskiego pójdę półostrowu
Rycerzy moich posadzić na strzemię
I nieść w pożarne Ukrainy łuny
Tych, którzy na mój głos powstali z truny...

to mimowoli przed oczyma staje obrazowość Ogniem i mieczem. Cóż dopiero, gdy się czyta następujące oktawy pieśni XI.:

Potem ze złotych słonecznych promieni
Rycerze jacyś konni i wysoko,
Jakby w powietrznym blasku zawieszeni,
Schodzili na dół; oblani posoką
Husarzów, zdaje się, lecących cieni.
Ale już widać: szlachta działa wloką,
Za nimi leksza druga złota chmura,
A nad nią szable, jak kłosy i pióra,

Lekkie i krzywe. Za tą znów gromadą
Widma czarniejsze na zwinnych rumakach,
Spisy i ciała swe na spisach kładą
I tak schyleni leżą na kulbakach;
Czasem Tatarów na stepach dojadą,
Strzelą i pierzchną, wiją się po krzakach,
Znowu się łączą... Ałłach dają nowy,
W którym sam El Dżin szablą ściął dwie głowy,

podobnie, jak w Ogniem i mieczem pan Podbipięta ściął trzy głowy.

Tymczasem wozy Borejsza odmyka.
Na szlachtę czeka, rozsuwa kołaski:
Rzekłbyś, że widzisz dobrego ptasznika.
Który otworzył swoje samotrzaski.
Leci szarego chmura wojownika.
Turkocą działa, idą z szabel błaski.
Wpadają w tabor. Wódz nie przewodniczy;
Stanął przy bramie i rycerzy liczy.

Jak pasterz stary, gdy pastuszki wiodą
Bydło, nie idzie spocząć do piekarni.
Lecz przy oborze rozlicza się z trzodą:
Tak i wodzowie, gdy są gospodarni,
Wyśli od ludu sercem i urodą,
A jako żołnierz krwią i prochem czarni.
Nim pójdą w namiot, to wiedzą najpierwsi.
Ile kul padło w sztandar, ile w piersi.

Przed wodzem szlachta przepędza zwycięska.
El Dżin przeleciał, jak wiatr, z Tatarami:
W Beniowskim twarz się stała prawie męska.
A krew mu szablę po rękojeść plami.
Tabor jak harfa szumów czarnoksiężka
Wre pieśnią: działa czyszczą żupanami:
Bowiem je wzięto ze krwią bombadierów.
Rozciąwszy wiele czaszek i giwerów.

Pułkownik także Salmur w piersi ranny.
Wzięty w niewolę; Szwed, posępnej twarzy.
Piękny, jak młody kochanek Dyanny,
Który przy działach właśnie stał na straży.
Na Zygmuntówce miecz strzaskał, jak szklanny,
I już mu głowę mieli ściąć Tatarzy.
Beniowski, strasznym przywiedziony krzykiem,
Wziął go, gdy z lontem już stał nad jaszczykiem.

Takie dnia tego było powodzenie;
Cokolwiek także wzięto karabinów.
Prochu, kul, ważne dla taboru mienie,
Droższe, niż beczki pereł i rubinów.
I tak Barowi stepem szło zbawienie
I stepem szła wieść Beniowskiego czynów...

Wszystko to w swym charakterze i kolorycie uderzająco jest podobne do scenery z Ogniem i mieczem, z tem zastrzeżeniem jedynie, że ów „Szwed posępnej twarzy“ zabłąkał się tu, jakby z Potopu. Zresztą jest to jakby kartka z oblężenia Zbaraża.

Gdy jednak idzie o samo oblężenie Zbaraża, a zwłaszcza o te rozdziały w Ogniem i mieczem, gdzie Sienkiewicz opisuje głód w oblężonej twierdzy, to jest w XI. pieśni Beniowskiego ośm oktaw z opisem głodu w otoczonym przez Moskali taborze konfederatów barskich, dziwnie podobnych do niektórych scen z IV. tomu Ogniem i mieczem.

W środku głód wszczął się i męstwo zatruwa;
Jedzą kobyły, skóry i trzewiki.
Skra gorączkowa głodu w oczach stoi;
Nie atakuje wróg, lecz niepokoi.

. . . .

Tatarzy stali się, jak psy ohydni,
Chcą zacząć trupy jeść. Węże się rodzą
W sercach, krew harda oczu nie rozwidni;
Patrzą po sobie i milczą głęboko,
Lecz jak szakale mają twarz i oko.

Zda się, że szczęki wzięły kształt zwierzęcy
I wyciągnęły się, zbielały zęby.
Słońce szło wyżej i piekło goręcej
A par wychodził czerwonemi kłęby;
I nawet wróble, co w kilka tysięcy,
Licząc w to szczygły, czyżyki i zięby,
Żyły w taborze, ze strasznego grodu
Wygnała je dziś czarownica głodu.

I poleciały chmurą do Moskali
Ptaszęta owe, jako zdrajce kraju;
Głód został i gry, w karty zawsze grali,
Brzęk złota, jak brzęk trupiego ruczaju
Mięszał się z brzękiem rozpłakanym stali;
A głód, jak Mojżesz straszny na Synaju,
Siadł na wysokim wozie, w ognia chmurze,
Czarny, jak szabla, schowana w jaszczurze.

I patrzał na tę ćmę, co stawia złoto
Na karty, i tem wnętrzności ucisza...
Beniowski jeden nad szarą hołotą
Został bez druha i bez towarzysza;
Sposępniał,

jak Skrzetuski w nękanym głodem Zbarażu,

smutek zrobił go istotą
Wyższą, na głód ma cierpliwość Derwisza,
Na skargi szlachty, wymówki okrutne,
Czoło spokojne, blade, ale smutne.

Jeszcze dziś odparł szturm i na temblaku
Ma lewą rękę; noc spokojną zyska:
Postawił straże i sam na rumaku
Obejrzał tabor, wrogów stanowiska.

niczem Jeremi Wiśniowiecki w obleżonym Zbarażu:

Pewnie noc cała przejdzie bez ataku,
Moskal zapalił czerwone ogniska,
Leży po bitwie; pora jest dogodna
Natrzeć, lecz konie chude, szlachta głodna.

Tatarzy także przy wielbłądach siedli
I patrzą w ogień straszni, zadumani,
Skra się w źrenicy suchej tak zwierciedli,
Jakby krew ludzka z ogniem były na niej;
Coś grzybów czarnych zebrali i jedli.
Może to z worków swoich ci szatani
Dobyli, aby głód umorzyć krwawy,
Straszniejszy jeszcze, niż szatańskie strawy.

Koło ich kwater przeszedł, nie zagląda
W usta, nie patrzy, co pod jataganem...
. . . .

Beniowski, zupełnie jak Jeremi Wiśniowiecki w *Ogniem i mieczem*,

przeszedł mimo. Noc gorąca,
Step parzy; niebo, choć noc, czerwienieje;
Nie było ani gwiazd, ani miesiąca,
Ani też rosy, co po stepach sieje
Narcyzy, ani wiatru; pieśń płacząca,
Co w ukraińską noc po kwiatach wieje,
Odezwała się; wszystko pokój wróży,
Jednak powietrze gęste, pełne burzy.

Beniowski, straże postawiwszy w koło,
Wszedł do namiotu......
Namiot wyglądał odarto i goło,
Ze skór był owczych; kaganiec w nim płonie,
O szable różne i o bronie trąca
Blady, jak złota gwiazda czuwająca.

Jedną z najoryginalniejszych postaci w *Ogniem i mieczem* jest niewątpliwie kozaczka, Horpyna Dońcówna, dziewczyna-olbrzymka, o której powiada Rzędzian, że „bezecna to olbrzymka, z dyabłami w komitywę wchodzi... ale dziewczysko hoże. Jak się

zasmieje, to przysiągłbyś, że kobyła na łące rży. Zębiska białe pokazuje, taka mocna, że pancerz może rozedrzeć, a jak chodzi, aż się ziemia trzęsie". Otóż, zdaje się, nie ulegać wątpliwości, iż prototypem tej Sienkiewiczowskiej bohaterki jest takaż sama kozaczka-olbrzymka, Hudyma, z Beniowskiego. Oto jak ją charakteryzuje Słowacki:

Rozbójniczka to była, co po drogach
Wprzód rozbijała ludzi nad limanem;
Nigdy na pańskich nie postała progach
I nigdy może nie mówiła z panem;
W czerwonych była butach, przy ostrogach,
I wydawała się wielkim draganem...

Hudymą zwana, smagła, lecz rumiana,
Widmo malarskich pendzli pewnie godne,
Wesoła, śmiała, niepohamowana,
Wyższa nad wszystkie dziewice dorodne:
Usta jak karmin, oczy jak szatana
Czarne, a piersi krągłe takie chłodne,
Jakby z marmuru, a brwi jak dwa łuki
Czarne, jak piórka, zgubione przez kruki.

W uszach dwie wielkie długie z pereł dynie
Wiszą, zdaje się, że łzy rusałczane,
Kapiące cicho po jagód karminie,
Zmrożone, białe, świeże i świetlane.
Taka to była sławna w Ukrainie
Rycerka, widmo straszne, choć rumiane.

Nie brak i wielu innych miejsc w Beniowskim, przy których czytaniu wprost narzucają się wspomnienia homeryckich bojów z Ogniem i mieczem. Oto n. p. opis bitwy z kozakami, w których Potocki szuka okazyi do zmierzenia się z Żeleźniakiem. Atakującymi są tu Polacy, podczas kiedy kozacy bronią się zacięcie,

Do ostrokołów przyparci, rąbani,
Jak pod kowala młotem, pod szablicą,
Cieci i nigdy nie pardonowani,
Choć złożą ręce i żelazo schwycą,
Przez łeb tak cięci, że porozwalani
Na dwie połowy mieczów błyskawicą.
Jęczą.[1] Szlachciców obłok coraz bliższy,
A nad obłokiem pan Potocki wyższy.

[1]) Przypisek na następnej stronie.

Jeszcze mu swoi ludzie są na przedzie,
On się już naprzód zapalony ciska,
Czasem na człeka lub na trupa wjedzie,
I od całego wyższy bojowiska.
Nad głową obuch, co okuty w miedzi,
Zda się, jak piorun Jowiszowy błyska
I wnet poleci ogniem z rąk Polaka,
A oczy jego w oczach Żeleźniaka.

A wkoło pełno spis, które drużyna
Wkoło, dbająca o hetmańskie zdrowie,
Szablami łamie, odwraca, odcina;
A on, z tym jasnym piorunem na głowie,
Gdy Żeleźniaka ujrzy, to się wspina
I czasem cicho coś do swoich powie,
I znowu wspięty, cichszy, coraz bladszy,
Żeleźniakowi w oczy ciągle patrzy. [2])

---

[1]) Można wskazać w Ogniem i mieczem cały szereg ustępów, wyraźnie wzorowanych na tej oktawie, nietylko pod względem obrazowym, gdzie kozactwu przypada ta sama rola przypartych i rąbanych bez pardonu, ale i pod względem stylistycznym, pod względem konstrukcyi zdania. Tak n. p. na str. 199, tomu II., czytamy, co następuje: „Zresztą spisy i kosy nie dały się użyć w ciasnem miejscu, więc też przyparci, jak stado owiec, do przeciwległej ściany jaru, rąbani szablami przez łby i twarze, bici, przebijani, deptani nogami, wyciągali z szaleństwem strachu ręce i chwytając nieubłagane żelazo, ginęli." W innem miejscu, na str. 95, tomu III., w opisie bitwy mołojców Bohunowych z żołnierzami Wołodyjowskiego „napadnięci z nienacka, rażeni ogniem z pistoletów, przykładanych do łbów i piersi, przyparci do płotów, do chaty i do stodoły, cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli, nie dając prawie oporu". W tomie IV., na str. 61 pisze Sienkiewicz: „Na przedzie, kłóci z tyłu spisami i prażeni ogniem z samopałów, biegli jeńcy z worami piasku..." A parę kartek dalej, na str. 63, kozacy darli się na wały, „przykryci dymem, czarni od sadzy, kłóci, rąbani, gardząc ranami i śmiercią... I trwała ta walka olbrzymia a bezpardonowa przez całe godziny... Zziajani, krwią ociekli, porwani szałem bojowym, spotnieli, wpół obłąkani od zapachu krwi, rwali się jedni przez drugich... Wyparci z miejsca, naciskani strasznym ciężarem żelaznych jeźdźców, spychani ku janczarom, cięci długiemi mieczami, zrzucani z siodeł, kłóci, bici, gnieceni, jak jadowite robactwo, bronili się jednak z zaciekłością..."

[2]) Ten obraz Potockiego, który, dowodząc bitwą sam na czele rycerstwa naciera na tłum kozactwa, ażeby się zmierzyć z Żeleźniakiem, mimowoli przypomina się przy czytaniu tej sceny w Ogniem i mieczem, gdzie wojewoda na czele rycerstwa pragnie się zmierzyć ze strasznym Burdabutem. Oto ważniejsze momenty tego epickiego opisu:

Jak bardzo Sienkiewicz musiał się wczytywać w Beniowskiego, o tem świadczą te ustępy w Ogniem i mieczem, na które w swym odczycie zwrócił uwagę prof. Kallenbach. a które są niewątpliwemi reminiscencyami z lektoru poematu Słowackiego. Tak n. p. początkowy obraz Dzikich Pól, z „miesiącem wychylającym się z za Dniepru i obielającym pustkę“, i towarzysz pancerny na burce przy ognisku z pachołkami obłupującymi ze skóry suhaka w „czerwonem kole światła“ od płonącego stosu: cały ten obraz nocny na tle stepu, zdaje się być natchnionym podobną sceną z Beniowskiego.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc wstawał zamyślony.
Obaczył ogień pod dębowym borem.
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek,

gotował strawę

i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór cała sarnę.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupan był, skóra i kości,[1])
Drugi: otyły i z rubinowemi
Policzki, pełen w sobie wielmożności.
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem.
. . . .
Beniowski z miłym uśmiechem na licu.
Widząc, że kuchnia była bardzo blisko.
Zsiadł z konia i rzekł: „Czy wolno zapytać
Kogo mam honor i przyjemność witać?“

„A zaś wojewoda, idąc po trupach czerni, stanął w obliczu zaporożców i gnał ku nim, oni zaś ku niemu... Sam wojewoda, zasadziwszy za pas buzdygan, a porwawszy koncerz od pacholika. pracował w pocie czoła. Przy nim dwóch panów Sieniutów, panowie Kierdeje. Bohusławscy, Jełowiccy i Połubińscy uwijali się, jak w ukropie. Ale po stronie kozackiej srożył się najbardziej Iwan Burdabut, z kalnickiego pułku podpułkownik, kozak olbrzymiej siły i statury, tem straszniejszy, że i konia miał takiego, który na równi z panem walczył... zwłaszcza, że za Burdabutem błyskało sto innych szabel zaporoskich i sto spis w krwi umoczonych. Dojrzał nakoniec dziki watażka wojewodę i wydawszy okropny krzyk radości, rzucił się ku niemu...“

[1]) Opisując w rozdziale II. Ogniem i mieczem postać Podbipięty, pisze o nim Sienkiewicz: „Szerokie jego ramiona i żylasty kark zwiastowały niepospolitą siłę. ale była na nim tylko skóra i kości.“

Na to pancernik gruby, lecz ostrożny,
Jak Litwin: „A Waść kto sam, Mości Panie?“
„Jestem Beniowski“, rzekł, patrząc na rożny
Rycerza. Tu drugi rozpoczął śpiewanie,
Opowiadając, że się zwie wielmożny
Borejsza, że ma wielkie zachowanie
U Radziwiłła, i wieś do przeżycia,
I bardzo grzmiącą wielką sławę z picia.

Ten „gruby“ szlachcic-opój, „otyły i z rubinowemi policzki“, głośno przepijający do swego „chudego kolegi“, wiele ma wspólnego z Zagłobą, a jego towarzysz „skóra i kości“ zdaje się być bliskim krewnym pana Longinusa Podbipięty.

Kiedy w rozdziale II. Ogniem i mieczem słucha się opowiadania Zagłoby o jego podróży do Ziemi Świętej, do której się za grzechy młodości ofiarował, a do której, jak się okazało, nie dojechał ostatecznie, bo już w Galacie palmę męczeńską[1]) otrzymał, trudno nie pomyśleć o początku pieśni VIII. Beniowskiego, w której pan Borejsza opowiada swe przygody na Krymie:

Jak zajechali me ambasadory
Do Krymu, nie wiem; ale pan Borejsza
Mówił, że spotkał na stepie upiory,
Dropie, limany, a rzecz najdziwniejsza,
Z bodiaków wielkich i kolących bory,
Od których puszczą białowiejska mniejsza:
W tej puszczy wielkie skrzydlate połosy
I ludzie, którzy mieli płaskie nosy.

Później to... w Litwie... o swojej podróży
Mówiąc, jak Ariost jaki nie rymowy,
Mówił, jak okręt pośród wielkiej burzy
Płynąc podpierał i dopłynął zdrowy...
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy,
A zresztą była kobietą prócz głowy,
A ogon wielki, gdyby u Sylena...
Szlachta krzyknęła wnet, że to Syrena!

Na co Borejsza zgodził się, u stołu
To było: wtenczas wszystko prawdą zda się;
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu
Zdusić na wieży, a on się na pasie

[1]) Gdy Zagłoba w rozdziale II. Ogniem i mieczem opowiada, iż w drodze do Ziemi Świętej już w Galacie „palmę męczeńską otrzymał“ i że „pozwał już sułtana do grodu za gwałt, którego się na nim dopuścił“, to kto wie, czy nie idzie tu o takie samo „podcięcie“, jakie się przytrafiło panu Borejszy w Indyach z syreną Bonzów...

Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu
Sztukując; potem napomknął w nawiasie
I od niechcenia, że tej sztuki sztucznej
Przyczyną był mąż jeden trzy-buńczuczny

I rogal; bowiem o jedną godzinę
Spóźnił się ze swą popiołową wieżą...
Tak mówiąc, wino połykał i ślinę,
Mrugał oczyma: „Niechaj mię uderzą
Pioruny, jeśli kłamię! Niechaj zginę!“

„Że między Borejszą a Zagłobą — powiada Kallenbach — jest wielkie duchowe staropolskie powinowactwo, tego nie zaprzeczy nikt, kto się w Beniowskim przysłucha konceptom starego szlachcica, kto zwłaszcza zobaczy tam, jak się Borejsza sprawia przed tatarskim hanem.“

Nadto jest jeszcze inny typ szlachcica w Beniowskim, podobny z wielu rysów do Zagłoby: to pan Dzierżanowski, towarzysz Braneckiego. Bo i on, jak Zagłoba, nietylko jest zawołanym łgarzem, ale nadto i podróżnikiem nielada. Oto jego rozmowa z Braneckim: zachwycającym się panną Anielą, o której wdziękach mówi „brudnemi ustami“:

„Co myślisz, mój ty Dzierżanowski? rzecze,
Czy w Indyach, twoje musztrując Cypaje,
Widziałeś jakie oko, co tak piecze
I tyle ognia pod spojrzeniem daje?“

Na to pan Dzierzwa-noski... kłamca wielki,
Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie:
„Ja trzymam tylko się każdej butelki,
Bom w Indyach stracił tę rzecz, co się zowie
Miłością. Miałem harem i ród wszelki,
I przynieśli mi syrenę Bonzowie,
Co miała ogon rybi i dwie twarze,
A sam uczyłem ją grać na gitarze.

Otóż kiedy mię raz uśpiła śpiewem,
Śpiewając jako maleńkie słowiczki,
Było to, pomnę, pod korkowem drzewem,
A nauczyłem ją jednej kantyczki...
Otóż widząc mię, że śpię, w ręku lewem
Mając gitarę, a w prawem nożyczki...“
Branecki przerwał: „Podcięła, jak szczygła!
Czemuż języka tobie nie ustrzygła?

Ja ci o ważnych rzeczach, mój Dzierżasiu,
Gadam, a ty mi znów kłamiesz bezczelnie,
Jak tam się w jakimś kochałeś Karasiu;
Gdy strzelasz, strzelaj-że przynajmniej celnie...“

Trafną też jest uwaga Kallenbacha, że nietylko bitwy w Beniowskim podniecały wyobraźnię Sienkiewicza, iż w poemacie tym w ogóle znalazło się więcej podniet twórczych dla przyszłego autora Trylogii. „Były tam jakby puchy nasienne, które wchłonie wrażliwa młodzieńcza wyobraźnia, a po latach wyrosną one na kwiaty, na hołd bezwiedny ulubionemu poecie.“

Do takich „puchów nasiennych“ należała niewątpliwie i następująca oktawa Beniowskiego, zwracająca uwagę Sienkiewicza na legendową w kozaczyźnie postać groźnego księcia Jaremy:

„Gdzież nas powiedziesz — mruczy starszyzna kozacka do Żeleźniaka —

to rzecz krwawa
Bić się z naszymi braćmi rezuniami.
Co za nagroda? Co za przyszłość nasza?
Wiśniowieckiego pomnij Jeremiasza!
Oj, ta mogiła kiedyś się otworzy,
Gdzie zasnął stary kat i miecz wykinie,
Na naszych głowach się ten miecz położy
I naszą znowu krwią gorącą spłynie.“

A jak w tej jednej jest cała postać Wiśniowieckiego z Ogniem i mieczem, tak znowu cała patryotyczna działalność Kmicica w Potopie mieści się w tych paru wierszach pieśni VI. Beniowskiego:

I patrzcie, co to jeden człowiek może,
Gdy duchem gwiazdą na świata się kirze
Zapali!

Już to w ogóle dałoby się napisać całe studyum na temat reminiscencyj z Beniowskiego w Trylogii, a zwłaszcza w Ogniem i mieczem. Tak n. p. zaraz w pierwszym rozdziale tej powieści. gdy Skrzetnski uwalnia i puszcza wolno Chmielnickiego, dowiadujemy się o nim, że wraca z Krymu od hana, do którego jechał w poselstwie z listem od księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Tak samo i Beniowski jedzie z Borejszą na Krym do hana z listem księcia Karola Radziwiłła...

Przykładów takich, świadczących, pod jak silnym wpływem Beniowskiego pozostawał autor Trylogii, da się przytoczyć więcej. Oto, niedaleko szukając, zaraz w rozdziale III. Ogniem i mieczem, tuż przed sceną poznania się Skrzetuskiego z Heleną, czytamy, co następnje:

> Raróg tymczasem krążył... to zniżał się, to podnosił... Jego białe pióra, oświecone słońcem, błyszczały jak samo słońce na pogodnym błękicie nieba. Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów. Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta... Wtem na skręcie drogi wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy... Na ramieniu tej młodej pani siedział spokojnie raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dziobem.

Gdy się do niej zbliżył pan Skrzetuski, Helena „nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zsiadłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto raróg, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni, i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć“.

Otóż scena ta dziwnie przypomina przygodę Beniowskiego z gołębiami z pieśni III. i jego poznania się z interesującą nimfą ukraińską.

> Tam widać laski brzozowe i klony
> Blade, z gałązek kulami owiane..
> . . . .
> Na to pan Zbigniew patrzał z ponad wzgórza.
> Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże...
> . . . .
> Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
> Chciał biedz, gdzie burza błyskała czerwona,
> Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
> Jakby mu jaka nimfa na ramiona
> Złożyła ręce... Wrzasnął głośno: kto tu?
> I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona,
> Spojrzał: na ramion mu siedziało brzegu
> Dwoje gołębi, jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?
Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elster lub Taglioni...
Taniec w gołębia los przemienia dziwnie,
Tak owe białe gołębie, przeciwnie

Z lotu zrobiły taniec, i nad głową
Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane.
Jakby miłosne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane:
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo, smętne, zadumane...

I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał, i wnet wszystko dwoje...
Z ramion mu poszły i w kręgi i w słoje
Tnące powietrze...
Póki rycerz nie ruszył wędzidłem
Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.

. . . .

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły

. . . .

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe...
W owem drzewie,
Od lat szesnastu zaledwie, dziewczątko.
W błękitne próchen rzucone zarzewie
W grocie z promieni...
w błyskotnej sukience
Stała na piersiach swych krzyżując ręce.
Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki
Sięgały jej ust dzióbki różanemi:
W oczach błękitnych przestrach wziął na ważki,
I dwie perłowych łez zrobił równemi.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jej spłonęła i szyja:
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna...

Podobnie w pierwszej scenie ze Skrzetuskim, w rozmowie przy kolasce, i kniaziówna „zapłoniła się, zmieszana, potem przybladła nagle“, aż w końcu wzrok jej napotkał męskie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że „ciemny rumieniec pokrył jej twarz“.

Po krótkiej sielance w Rozłogach Skrzetuski rozstaje się z Heleną, jedzie do Łubniów, gdzie w jakiś czas potem otrzymuje list od Heleny, list pełen miłości i tęsknoty, a choć nie taki długi i poetyczny, jak słynny list Anieli do Zbigniewa z pieśni IV. Beniowskiego, to jednak podyktowało go to samo uczucie, zwłaszcza, iż sytuacya i w Ogniem i mieczem, i w Beniowskim, była ta sama zupełnie, gdy szło o powody rozstania kochanków.

Okazuje się jednak, że i inne utwory Słowackiego, nietylko Beniowski, wpłynęły na niektóre pomysły w Ogniem i mieczem. Tak n. p. z rozdziału IV. tej powieści dowiadujemy się, że kniahini Kurcewiczowa ma pięciu synów, ale „najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od czego mu też i rozum się nadwerężył". W następnym rozdziale tak opisuje Sienkiewicz jego ukazanie się w obec Skrzetuskiego i jego towarzyszy: „W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł zwolna Wasil, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły, wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczy miał dwie czerwone jamy..." „i taka niezmierzona rozpacz malowała się na jego twarzy, że goście nie wiedzieli, co mają począć. Tymczasem Helena posadziła go na krześle, sama zaś, wybiegłszy do sieni, wróciła z lutnią w ręku". Każdego, który ma w pamięci tragedyę Słowackiego o dawnym konfederacie barskim, Horsztyńskim, musi uderzyć podobieństwo tej sceny z głównemi scenami w pomienionym utworze Juliusza: bo i Horsztyński ma „wykapane oczy", z tą różnicą, iż jemu, podczas wyprawy na Drewian, oczy wykapali Moskale „gromnicami", podczas kiedy Wasilowi Kurcewiczowi uczynili to samo Tatarzy „pochodniami". Ta Helena zaś, wprowadzająca ociemniałego Wasila za rękę do komnaty, to zupełna analogia z „Salomeą" przy ociemniałym Horsztyńskim, który tak samo, jak Wasyl, również „nie jest przy zdrowym rozumie".

Ale nie na tem koniec. Z tego samego rozdziału, mianowicie z historyi Kurcewiczów, dowiadujemy się o zmarłym ojcu Heleny, Wasilu, że „sprowadziwszy do Rozłogów brata swego, Konstantego, z rodziną, żył z nimi w zgodzie i każdym kawałkiem chleba z nimi się dzielił aż do końca 1634 roku, „w którym Wasil z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył". „Tam zaszedł ów nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim

przejęto list, pisany do Szehina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Napróżno Wasil świadczył się Bogiem, że ni ręka ni podpis na liście nie są jego, herb Kurcz na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaź tłumaczył, nikt wierzyć nie chciał i t. d.“ Dopiero potem, już po śmierci Wasila, wyszła niewinność jego na jaw. Identycznie taką samą historyę opowiada o sobie w rozmowie z Horsztyńskim hetman Kossakowski w tragedyi Słowackiego:

Hetman. Horsztyński, wiem, że masz powierzchowne dowody...

Horsztyński. Na piśmie!

Hetman. Tak! Zabrawszy obóz Moskali, znalazłeś między gratami jakieś pismo, napisane może umyślnie na to, aby mnie oszkalować w oczach ziomków. Może umyślnie nawet dali sobie Moskale zabrać wojenne sprzęty, aby to pismo wpadło w ręce Polaków...

Horsztyński. Straciłem dwustu ludzi, mości Hetmanie, biorąc ten obóz umyślnie porzucony.

Hetman. Być może! być może!... Ale ja ci przysięgnę, Horsztyński, że nic nie wiedziałem o tym szelmowskim papierze... Chcieli mnie zgubić! A ty pomyśl... Wiedząc, że pismo takie jest w rękach mojego wroga, muszę się rzucać w przepaść, bo najczystsze moje zamiary, najświętsze moje postępowanie może nie przydać się na nic, skoro siwy starzec, nie przy zdrowym rozumie, zechce zwalić mnie tą oszczerczą bronią.

Horsztyński. Łagodniej, panie Hetmanie, z wrogiem twoim! Wiesz, że nie jestem przy zdrowym rozumie.

Tych kilka przykładów przekona chyba każdego, że „siła fatalna“ poezyi Słowackiego w wielu miejscach Sienkiewiczowskiej Trylogii odbiła się bardzo widocznie, szczególniej w Ogniem i mieczem.[1])

---

[1]) Zaznaczyć muszę, że mnie tu nie szło wcale o wyczerpanie tematu, lecz jedynie o wskazanie na wybitny wpływ poezyi Słowackiego na twórczość Sienkiewicza. Ale temat to w każdym razie, który godzi się rozwinąć do rozmiarów osobnego studyum literackiego.

XVII.

Rzeczą jest młodszej krytyki polskiej wykazać, że tak samo, jak na Sienkiewiczu, wywarła poezya Słowackiego wpływ decydujący także i na następną generacyę powieściopisarzy polskich, na Żeromskiego, na Reymonta, na Tetmajera, jako powieściopisarza, na Sieroszewskiego, którego Beniowski niewątpliwie wywodzi się od Beniowskiego Juliusza, i na wszystkich najmłodszych z Przybyszewskim na czele. Bo — jak to trafnie stwierdził prof. Tretiak — język tego całego pokolenia powieściopisarzy polskich urobiony jest w znacznym stopniu na języku Słowackiego, i temu zawdzięcza swą barwność, ba, swą nowoczesność!

Wpływ ten daje się zauważyć i w pracach naszych młodszych historyków, od Kubali począwszy, którzy swe historyczne prace często urozmaicają cytatami ze Słowackiego, lub na jego poezyi opierają swe wywody. Tak n. p. Sobieski, w swem wspaniałem studyum Na Wawelu a na Kremlu, w paraleli psychologicznej, przeprowadzonej między Iwanem Groźnym a Zygmuntem Augustem, charakteryzując moskiewskiego cara, raz po raz cytuje ustępy z Króla Ducha.

A cóż dopiero powiedzieć o krytyce polskiej! Zwłaszcza historyczno-literackiej! Bo gdzie jest drugi poeta polski, o którym istniałaby równie bogata literatura, — literatura, z której złożyłaby się wielka biblioteka! Dużo pisano o Kochanowskim, o Mickiewiczu i o Krasińskim, ale o żadnym nie istnieje tyle studyów, rozpraw i szkiców, co o Słowackim. A co jest niemniej uderzającem, że nietylko ilościowo, ale i jakościowo, to, co krytyka miała do powiedzenia o Słowackim, przewyższa studya o innych poetach. Niczyjej twórczości nie zbadano tak wyczerpująco, z takim pietyzmem, jak poezyi Słowackiego. Żaden z naszych poetów, ba, żaden z naszych bohaterów narodowych, nie doczekał się tylu monografij, co Słowacki, i tak dobrych monografij!

Świetne są monografie Chmielowskiego, Władysława Mickiewicza, Kallenbacha o Mickiewiczu, znakomitą jest Tarnowskiego monografia o Krasińskim, ale żadna z nich nie osiągnęła tego stopnia popularności w całem społeczeństwie, jak Małeckiego książka o Słowackim. Dziełem tem rzeczywiście znakomitem,

zwłaszcza na swój czas, wystawił sobie Małecki *monumentum aere perennius,* a choćby nawet nie napisał swych przenikliwych Studyów heraldycznych, ani swego dzieła o Lechitach. ani swych Opowiadań z przeszłości dziejowej, ani wreszcie swej klasycznej, epokowej poprostu Gramatyki, mimo to, jako autor dzieła o Słowackim, miałby takie samo pierwszorzędne stanowisko w literaturze, jakie mu przypadło w udziale. A czemu to przypisać głównie? Czy tylko wybitnym zaletom monografii o Juliuszu? Nie ulega wątpliwości, iż dzieło jest zupełnie *hors ligne,* śmiało wytrzymujące porównanie z najlepszemi zagranicznemi monografiami o Byronie, o Goethem i Schillerze, ale zaprzeczyć nie da się również, że gdyby poeta, jako człowiek. nie był tak interesującym, jak Słowacki, to i książka o nim, opisująca jego życie i twórczość, nie byłaby tak zajmującą, nie zdobyła sobie tej poczytności.

Zdawałoby się. że skoro istnieje tak świetna książka o poecie. to już nie ma potrzeby, ażeby i inni podejmowali ten sam temat. Tak jest do pewnego stopnia z Krasińskim, o którym *vox populi* uznał monografię Tarnowskiego za „ostatnie słowo“ o nim; tak jest po części i z Mickiewiczem, o którym jakoś po monografiach Chmielowskiego i Kallenbacha, a zwłaszcza po wyczerpującym życiorysie Władysława Mickiewicza, nie zanosi się na nowe dzieło tego rodzaju; tymczasem Słowacki, pomimo — zdawałoby się — wyczerpania tematu przez Małeckiego, nie dał ani na chwilę spokoju krytykom historyczno-literackim, czego najlepszym dowodem, niezależnie od prawdziwie nieprzejrzanej masy mniej lub więcej obszernych studyów i rozpraw, monografie Tretiaka, Matuszewskiego, Grabowskiego. Jellenty. A wszystko dlatego, że „siła fatalna“ poezyi Słowackiego jeszcze dziś działa silniej na umysły literackie, aniżeli jakakolwiek inna poezya...

Jak wielką jest ta siła, tego dowodem są nawet tacy krytycy, którzy Słowackim nigdy nie zajmowali się specyalnie, ze szczególnem upodobaniem. Klaczko n. p. niby to nie czuł szczególnego pociągu do Słowackiego, o którym nawet w poufnych rozmowach wyrażał się z przekąsem; mimo to jednak, pomimo całego kultu, jaki miał dla Mickiewicza i Krasińskiego, gdy się raz dorwał do poezyi Słowackiego, do tego — jak go nazwał trafnie — „Weroneza polskiej poezyi“, tak się dał oczarować jej urokowi, że ją pod chwilowem wrażeniem postawił wyżej, niż wszystkie inne, a „kochając Słowackiego, którego nazywał największym artystą.

innych znienawidził“ [1]. Tak samo i Tarnowski, o którym nawet urobiła się opinia (niesłuszna zresztą), że „nie lubi“ Słowackiego. Co pewna, iż Tarnowski najwyżej ceni Mickiewicza (i słusznie), a dla Krasińskiego żywi całkiem wyjątkowy kult. Słowackiego stawia na trzeciem miejscu, po Mickiewiczu i Krasińskim. A jednak nie brak takich, których zdaniem Tarnowski, jako krytyk i estetyk, wzniósł się najwyżej, nie w swej monografii o Krasińskim, nie w swych znakomitych studyach o Mickiewiczu, ale właśnie w rozprawach, poświęconych analizie dzieł Słowackiego, poczynając od obszernego sprawozdania z książki prof. Małeckiego (który to rozbiór niektórzy uważają za najlepszą z pomiędzy wszystkich prac Tarnowskiego), a kończąc na świetnych rotrząsaniach Horsztyńskiego, Niepoprawnych, Mazepy, Maryi Stuart, W Szwajcaryi i Ojca zadżumionych. Można się sprzeczać w tej kwestyi, ale trzeba zanotować tę opinię, gdyż nie jest ona wcale odosobnioną, lecz podzielaną przez szerokie koła w sferach literackich krakowskich.

A to samo zdarzyło się i innym wybitnym krytykom. Dość wymienić Matuszewskiego, który choć jest autorem całego szeregu cennych dzieł krytycznych, jednak w oczach ogółu, dla tego narodowego instynktu, „który tak rzadko się myli“, jest i pozostanie przedewszystkiem autorem Słowackiego i nowej sztuki. Podobnie ma się rzecz z prof. Tretiakiem: pomimo swej znakomitej monografii o Bohdanie Zaleskim, o Mickiewiczu w Wilnie i Kownie, o Skardze i Puszkinie, o Krasickim i Asnyku, największą sławę zjednało mu niewątpliwie jego znakomite — choć tak namiętnie zwalczane przez płytką i popularności schlebiającą krytykę — dzieło o Juliuszu Słowackim, będące olbrzymim krokiem naprzód w stosunku do książki Małeckiego. Burza, która zerwała się po wyjściu tej mistrzowskiej monografii, a która zresztą miała wiele typowych cech burzy w szklance wody, przeszła „jak tuman pyłu, którym wicher kręci“, uciszyły się namiętności i... małości, a książka prof. Tretiaka, niewątpliwie jego arcydzieło, na długie lata pozostanie arcy-

---

[1]) Zapisuje to And. Edw. Koźmian w swym liście z Paryża do rodziny, datowanym d. 2 listopada 1858 r. „Klaczkę widuję... Twierdzi on, że krytyk nie powinien być bezstronny, lecz powinien nienawidzić lub kochać. On teraz, oprócz Mickiewicza, kocha Słowackiego, którego zowie największym artystą. Innych nienawidzi.“

dziełem subtelnej i przenikliwej krytyki psychologicznej, i jako taka, niezatartemi zgłoskami zapisze się w historyi literatury.

Wymieniając nazwisko prof. Tretiaka, mimowoli myśli się o prof. Hahnie, który także, choć pisał o najrozmaitszych pisarzach i poetach, przedewszystkiem zasłużył się jako sumienny badacz Słowackiego. To samo Méyet: cokolwiek napisał o Wizerunkach Adama Mickiewicza, jakąkolwiek jest jego zasługa przez ogłoszenie i opracowanie Listów Krasińskiego do pani Bobrowej, do literatury, do historyi krytyki w Polsce, przejdzie on w pierwszym rzędzie jako wydawca Listów Słowackiego.

Co również musi być poczytane za niesłychany tryumf „siły fatalnej“ i uroku poezyi Słowackiego, to fakt, zakrawający prawie na ironię, że nigdzie nie ogłoszono tylu cennych rozpraw o Słowackim, co w lwowskim Pamiętniku literackim imienia... Adama Mickiewicza! Bez roczników tego kwartalnika, założonego w celu propagowania kultu autora Dziadów, niepodobna dziś przystąpić do studyów nad Słowackim; bo nie ulega wątpliwości, że najlepsze, najbardziej wartościowe prace krytyczne, jakie się ukazały w kilkudziesięciu zeszytach tego wydawnictwa, obracają się około życia i twórczości Słowackiego. Tutaj drukowała się Mistyka Słowackiego Pawlikowskiego, tutaj, w postaci niezliczonych studyów, znajduje się największy materyał do biografii i bibliografii Juliusza; a co również nie może ujść baczności, jako szczegół psychologiczny, wysoce znamienny dla pewnych kół naukowych, że pierwszy rocznik tego zasłużonego ze wszech miar Pamiętnika literackiego poświęciło wydające go Towarzystwo imienia Adama Mickiewicza nie komu innemu, tylko Antoniemu Małeckiemu, a więc pisarzowi, najbardziej wsławionemu swą książką o... Juliuszu Słowackim!

Rzeczywiście, iż trudno o efektowniejsze ziszczenie się dumnej przepowiedni poety o sobie w Beniowskim:

> przyszłość moja
> I moje będzie za grobem zwycięstwo!

XVIII.

W liście swym do Stattlera z r. 1845 na temat przyszłego malarstwa polskiego przepowiadał Słowacki, że przedewszystkiem urodzi się ono w Krakowie, a następnie będzie to sztuka pełna „wspomnień o dawnej Polsce, tej wschodnio-błyszczącej strony charakteru narodowego, która musi kiedyś wytrysnąć na wierzch obrazowością, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony, z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą kolorów“. W słowach tych przeczuł Słowacki poprostu Matejkę; ten zaś, od pierwszej chwili, gdy zaczął tworzyć swe arcydzieła, dziwny czuł pociąg do Słowackiego i jego poezyi, a „wizye dziejowe naszego Juliusza“ — jak się przy sposobności wyraził o jego utworach z przeszłości Polski — najbardziej mu trafiały do gustu. Jakoż znał je wybornie, a jak w nie wmyśliwał się głęboko, o tem najlepiej świadczy jego oryginalny komentarz do Balladyny.

Lecz nietylko Matejko, jeśli idzie o malarzy polskich, był takim fanatycznym czcicielem Słowackiego. Historyk sztuki, który napisze specyalne studyum O poezyi Słowackiego w malarstwie polskiem, będzie miał nader wdzięczny i rozległy temat. Ileż bo jest znakomitych obrazów, osnutych na motywach z dramatów i poematów Juliusza! Jednem z arcydzieł Jacka Malczewskiego, obrazem, mającym największą popularność w całej Polsce, jest zdobiąca Muzeum Narodowe w Krakowie Śmierć Ellenai. Witold Pruszkowski namalował cały cykl obrazów sybirskich na temat różnych scen z Anhellego, a jego poetyczna Eloe, spopularyzowana przez kolorową reprodukcyę, podobnie jak i jego eteryczna Goplana, należą niewątpliwie do arcydzieł malarstwa polskiego. Rostworowskiego cykl obrazów kredkowych, ilustrujących sceny z Balladyny, Wyczółkowskiego Alina, Andriollego ilustracye do Lilli Wenedy nietylko przynoszą zaszczyt swym twórcom, ale nadto dowodzą ich kultu dla Juliusza. Tego samego dowodzą różne obrazy Oleszczyńskiego, Kossaka, Gersona, Mireckiego, Stachiewicza, Pawliszaka, Piotrowskiego, Bujalskiego, Pileckiego, Piątkowskiego, Alchimowicza, Młodnickiego, Lewandowskiego, Macewicza, Styki, Ryszkiewicza, Szwojnickiego, Masłowskiego, Górskiego, Kamieńskiego, Gawińskiego, Sawiczewskiego, Tańskiego, i jeszcze wielu innych młodszych i najmłodszych.

Jednem słowem temat do drobnego studyum estetycznego nader wdzięczny.

Studyum O Juliuszu Słowackim w muzyce polskiej już zostało napisane. Wyszło ono z pod wytrawnego pióra prof. Adolfa Chybińskiego. Okazuje się, że i na muzyków polskich „siła fatalna“ poezyi Słowackiego działała i działa nieprzeparcie, przyczem „z małymi wyjątkami wszyscy prawie kompozytorowie polscy zwrócili się do Słowackiego, jako twórcy dramatów, omijając jego utwory liryczne“.

Pierwszym kompozytorem, posługującym się dramatami Słowackiego, jako tekstami swych oper, jest Henryk Jarecki, który, jako uczeń Moniuszki, w r. 1872 napisał melodramatyczną muzykę do Balladyny, w r. 1875 do Lilli Wenedy, a w r. 1880 skomponował operę Mindowe. Nadto jest jego poemat w czterech częściach na chór mieszany z orkiestrą, p. t. Hugo, osnuty na poemacie Słowackiego.

W r. 1885 powstała opera Adama Münchheimera Mazepa z librettem, ściśle przerobionem z tragedyi Słowackiego. Opera ta, „wahająca się między stylem Meyerbeera a stylem wcześniejszych oper Verdi'ego“, przedostała się nawet na sceny włoskie, a dopiero potem była grywana w Warszawie.

Najlepszą ze wszystkich oper polskich, osnutych na dramatach Słowackiego, jest Goplana Władysława Żeleńskiego, poczerpnięta z Balladyny, wystawiona w Warszawie w r. 1897.

Nadto istnieje opera Seweryna Bersona, ucznia Żeleńskiego, p. t. Jan Bielecki, osnuta na poemacie Słowackiego.

„Młoda muzyka polska — powiada Chybiński — zwraca się coraz częściej myślą ku Słowackiemu, głównie z powodu poetycznej nastrojowości, jaką tchną jego nieśmiertelne dzieła.“

Pierwszy poszedł w tym kierunku Mieczysław Karłowicz, który napisał muzykę do jednej ze strof poematu W Szwajcaryi: „Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą...“ Zdaniem Chybińskiego jest to „jedna z najbardziej wartościowych kompozycyj polskich na tle twórczości Słowackiego“, a jednocześnie „jest to zarazem najlepsza z pieśni nieodżałowanej pamięci twórcy Trzech odwiecznych pieśni i *tchnie w istocie duchem Juliusza*“.

Henryk Opieński napisał w r. 1905 nastrojową muzykę do Księcia Niezłomnego, a w parę lat potem skomponowana przezeń Lilla Weneda „dowodzi przejęcia się tonem, na który nastrojona jest twórczość Słowackiego“.

Ludomir Różycki napisał poemat symfoniczny na temat Anhellego, a prócz tego pisze operę, a raczej dramat muzyczny, wprost do oryginalnego tekstu Beatrix Cenci Słowackiego, w którym to utworze „duch Słowackiego — jak pisze Chybiński — obcy wszelkim normalnym szablonom, poda rękę formie dramatu muzycznego".

Edmund Walter zapowiada większą kompozycyę muzyczną na solo tenorowe z chórami i orkiestrą do poematu W Szwajcaryi...

XIX.

Oto, w jaki sposób „siła fatalna" Słowackiego przejawiała się w ciągu długiego lat szeregu w poezyi i prozie polskiej, w malarstwie i rzeźbie, a wreszcie i w muzyce. Nie ma drugiego poety polskiego, którego wpływ byłby równie zapładniający na inne duchy twórcze. Temu nie zaprzeczy nikt.

A jaki z tego wniosek ogólny? Ten przedewszystkiem, że w pół wieku po śmierci doczekał się wreszcie Słowacki tego uznania, jakiego sobie nie umiał zjednać za życia, czyli, że ostatecznie spełniło się jego życzenie dziecięce. „Mając lat ośm — pisał on w jednym z listów do matki — przysięgałem Bogu w kościele katedralnym w Wilnie, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, ale za to za grobem o wszystko się upomnę..." „O Boże! (taką była jego zwykła modlitwa) daj mi sławę choćby po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu!" I stało się zadość jego dziecinnej prośbie: Bóg dał mu „nieśmiertelną sławę po śmierci", ale mu ją kazał okupić osamotnieniem i nieuznaniem za życia!

Dziś sława jego, dorównywująca Mickiewiczowskiej, rozbrzmiewa wszędzie, gdzie tylko sięga mowa polska. Dziś wszyscy godzą się na to, że dwaj nasi najwięksi poeci, to Mickiewicz i Słowacki.

Jaka pomiędzy nimi różnica? Mickiewicz, jako jeden z kilku największych geniuszów poetyckich świata, jest prostszy i łatwiejszy do zrozumienia; Słowacki zaś, jako jeden z największych talentów

epoki romantycznej, jest poetyczniejszy i bardziej nowoczesny. Dzieła Mickiewicza, przystępne nawet dla mniej wykształconych umysłów, zbłądzą może z czasem pod strzechy, jak to było gorącem pragnieniem poety; Słowacki nigdy nie przestanie być poetą arystokracyi ducha.

FERDYNAND HOESICK.

Zygmunt Kaczkowski
i jego czasy.

(Na podstawie źródeł i materyałów rękopiśmiennych.)

(Dokończenie).

XI.

(Ogólna charakterystyka. — Ostatnie ciosy: Śmierć tragiczna bratanka. Śmierć siostrzenicy i siostry. — Broszura niemiecka o ks. Bismarku. — Przeczucie końca. — Rozporządzenia testamentowe. — Puścizna. — Poślubienie Maryi Cayez. — Smutek ostatnich chwil życia. — Deklaracya na łożu śmierci. — Zgon. — Pogrzeb. — Domówienie.)

W pobieżnym przeglądzie, o ile on się dał zmieścić w ramach niniejszego studyum, przeszliśmy wszystkie utwory Zygmunta Kaczkowskiego, aż do ostatniej niemal chwili jego życia, obfitego w wypadki, a oddanego pracy, istotnie niezmordowanej. Tragiczne zajścia w r. 1863 wytrąciły na czas dłuższy pióro z ręki niepospolitego pisarza, ale go nie złamały. Upłynęły wprawdzie lata, w których Kaczkowski, zajęty bądź sprawami politycznemi i dyplomatycznemi, bądź budową swego bytu materyalnego, obracał się niemal wyłącznie w sferach politycznych i finansowych. w których znalazł nietylko uznanie, zdobył nietylko odznaczenia — był bowiem kawalerem francuskiej Legii honorowej i papieskiego orderu Chrystusa, — lecz i znaczną fortunę. Do prac jednak literackich powracał. rzec można, z nałogu, z których jednak istotną wartość mają tylko „Olbrachtowi rycerze“ — powieść, obmyślona i w znacznej części ułożona w latach młodych, w pełnym jeszcze rozkwicie talentu.

Zdobył fortunę, lecz nie uzyskał spokoju. ani zadowolenia. Jego ambitny. niespokojny, żądny znaczenia duch, nie mógł znieść na sobie piętna, wyciśniętego „brzydkim“ — jak się warszawski Rząd narodowy wyraził — wyrokiem lwowskim z r. 1863. Gryzła go nieustannie myśl, że owa haniebna sprawa, jakkolwiek wyrok lwowski skasowano i chociaż powrót do kraju był mu dozwolony,

nie została przecież stanowczo i ostatecznie rozstrzygnięta przez sąd inny, który miał się zebrać w Paryżu, lecz nigdy się nie zebrał. Szukał gorączkowo rehabilitacyi w kraju, widział ją w uzyskaniu poselskiego mandatu, lecz tu doznał fatalnego zawodu. Zapłynęło mu więc serce goryczą i nieprzejednanym żalem do tych, których o to niepowodzenie swe obwiniał. Oddalony od kraju, o stosunkach jego wyrabiał sobie nieraz najfałszywsze pojęcie na podstawie jednostronnych doniesień. Wypowiadał sądy stanowcze, a nacechowane stronniczością i nieraz nienawiścią przepojone. Powściągliwy, zimny, zamknięty w sobie w życiu i w obcowaniu osobistem z ludźmi, wybuchał tą nienawiścią w sążnistych swych listach, w których „jego — jak sam przyznawał — rozmachane pióro“ potrzebowało nieraz kilku kartek, aby się wypowiedzieć. Te listy, z których wiele ustępów w niniejszej pracy dosłownie przytoczyliśmy, do rozmaitych osób pisane, utworzyłyby niewątpliwie kilka sporych tomów. Myśmy z nich brali to tylko, co bezpośrednio do naszego odnosiło się przedmiotu, pomijając to, co się tyczyło poglądów Kaczkowskiego na politykę europejską i jej wpływu na sprawę polską. Piszący historyę polityczną tych czasów, znajdzie tam materyał niewątpliwie ciekawy, znajdzie zapatrywania nie zawsze może zupełnie trafne, lecz nie bez znaczenia, jako pochodzące z ust człowieka, który mógł dużo widzieć i wiedzieć, a szerokim swym umysłem obejmował dalsze horyzonty. — Myśmy natomiast wzięli z tych listów przeważnie to, co mogło rzucić światło na genezę wielu jego utworów, co było motywem, nie zawsze jawnym, jego postępowania. Pod tym względem na szczególną uwagę zasługują listy jego do pani Jadwigi Liskowej, osobiście wprawdzie sobie nieznanej, lecz przed którą on — jak sam wyznawał [1]) — „swoją starą sukmanę na piersiach rozdzierał i spowiadał się z głębi swego sumienia“.

Listy te i wiele, wiele innych, pisane pięknem, równem, czytelnem pismem, bez żadnych niemal poprawek, będące niewątpliwie najznakomitszem jego dziełem literackiem, tak pod względem formy, jak i bogatej treści, chociaż mocno niejednolitem, — listy te są najlepszem zwierciadłem pisarza i człowieka, ze wszystkiemi jego przywarami i zaletami. Dlatego też korzystaliśmy z nich obficie, w przekonaniu, że lepiej, niż jakiekolwiek słowa, scharakteryzują tę wybitną postać, zarysowującą się na tle epoki znamiennymi ry-

[1]) List z Paryża, z dnia 12 grudnia 1890 r. Zbiór Bibl. Ossolińskich. Ms.

sami. Przejawia się w nich w całej pełni człowiek niezmiernie ambitny, żądny znaczenia i czynu, a zarazem ciągle przepojony goryczą, że mu nie dano swych zdolności, które czuł w sobie, spożytkować w kraju.

Z żelazną energią i pewnością siebie rzucił się więc w wir spraw, przedewszystkiem finansowych za granicą, w czem niemałą pomocą były mu jego stosunki w świecie dyplomatycznym i dziennikarskim, które potrafił sobie wyrobić.

„Czuję przyszłość przed sobą — idę w nią z ufnością i wiarą", pisał do Seweryna Smarzewskiego, pod pierwszem wrażeniem druzgocącego wyroku, skazującego go na banicyę. Czuł przyszłość, chociaż był „zgięty brzemieniem boleści" i chociaż „ani dnia jednego nie widział przed sobą". I to przeczucie go nie zawiodło. Siłą woli, żelazną pracą, niezwykłą rzutkością i pomysłowością wydobył się na powierzchnię, a były nawet chwile — jak owa za rządów hr. Belcrediego, — w których mógł był zająć pierwszorzędne stanowisko. Czy w skutek zawistnego losu, czy może przywar własnego temperamentu, nie zdolnego pomiarkować się w swych aspiracyach, nie osiągnął go i musiał ograniczyć swoją działalność w sferze spekulacyj finansowych i rozmaitych przedsiębiorstw, których administracyę niezmordowanie prowadził. — W liście z Paryża, z d. 18 grudnia 1887 r., pisał do Adama Krechowieckiego [1]: „Od teraz mniej więcej do 15 stycznia będę zajęty zamknięciem rocznych rachunków rozmaitych przedsiębiorstw, których administracya na mnie polega."

W liście do Zygmunta Sarneckiego z d. 21 listopada 1889 r. donosi: „Jestem od kilku tygodni moimi materyalnymi interesami bardzo zatrudniony."

Wreszcie w r. 1894, donosząc pani Jadwidze Liskowej, że zaniechał myśli pisania swoich pamiętników, dodaje, w przeczuciu zbliżającej się śmierci: „Pozostaje mi zatem tylko moje interesa uporządkować, które skutkiem mojej dawniejszej przedsiębiorczości bardzo są rozproszone, co wszakże, jeżeli jeszcze do końca roku pożyję, prawdopodobnie się uda." [2])

Szwankujący coraz bardziej stan zdrowia, odzywający się ciągle reumatyzm, chronicznie powtarzający się na wiosnę i w jesieni, niedomagania płucne, które Kaczkowski nazywa „zamuleniem płuc", wszystko to wpływa na pesymistyczny nastrój ducha, wytrącający

---

[1]) Ms.

[2]) List z Paryża, z d. 13 kwietnia 1894. Zbiór Bibl. Ossol. Ms.

pióro z ręki. Już w r. 1889 na zaproszenie Z. Sarneckiego do współpracownictwa w „Świecie“, odpowiada Kaczkowski długim, jak zwykle, listem [1]), w którym pisze:

„Tylko świeżość uczucia, tylko wiara w potęgę własnego umysłu, chociaż często naiwna, ale zawsze dziewicza a przeto pełna uroku, ma siłę przyciągającą i ożywiającą. My starzy pisarze tej siły przyciągającej nie mamy, bo jej mieć nie możemy, tak jak owoc nie może mieć zapachu kwiatu. Cokolwiek który ze starych pisarzy napisze, chociażby jego dzieło łączyło w sobie głębokość myśli z najwyższą sumiennością wypracowania, zawsze będzie ono miało na sobie charakter reminiscencyi, charakter czegoś, co już było, co już jest znane, a przeto nie mogące mieć pociągu nowości. Żaden z największych geniuszów nie potrafił tego losu uniknąć: widzieliśmy ten fenomen na drugiej części Fausta Goethego i na wszystkich późniejszych dziełach Wiktora Hugo. A kiedy takiemu losowi ulegają najwięksi, o ileż więcej muszą mu ulegać wszyscy mniejsi. Mickiewicz złożył uderzający dowód rozumu, że po „Tadeuszu“ pióro odłożył — a Pol byłby dzisiaj całkiem inną postacią w naszej poezyi, gdyby był na Mohorcie swój zawód pisarski zakończył, przez co by był jeszcze to zyskał, że Spasowicz nie byłby mógł mieć o nim swoich niedorzecznych prelekcyi, bo Spasowicz albo wcale nie wiedział, czem był Pol do roku 1848, albo, jeżeli wiedział, to nie mógłby mówić o tem publicznie.

„Ja Panu radzę nie przywiązywać żadnej wartości do współpracownictwa starych pisarzy. Niech oni sobie książki piszą, jeżeli jeszcze co mają w swojej tece albo w pamięci, ale dzienniki nie powinny się opierać na ich współpracownictwie, bo oni im abonentów nie przysporzą, jakto widzimy na ich xiążkach, które się z wielką trudnością sprzedają. Dzienniki, tygodniki, a nawet i miesięczniki, sa to awangardy cywilizacyi a przeto i literatury, ich zadaniem jest nowe poruszać idee, a zatem głównie młodemi się posługiwać siłami. Jest to ich obowiązkiem a zarazem i interesem, bo tylko nowe rzeczy obudzają ciekawość. Jeżeli Buloz postawił swoją „Revue des deux mondes“ w rzędzie najwięcej czytanych Pism periodycznych, to cel ten osiągnął tylko swoim talentem wyszukiwania młodych autorów — a Villemessant także tylko tym środkiem doprowadził „Figaro“ do takiej popularności. U nas postępował tym torem Antoni Lesznowski, toż za jego czasów „Gazeta Warszawska“ miała najwięcej czytelników pod zaborem rossyj-

[1]) List z d. 21 listopada 1889. Ms.

skim. Rzuć się Pan na tę drogę, a przekonasz się wkrótce, że to i Pismu Pańskiemu posłuży i zrobi Panu pewne stanowisko w tworzącej się nowej literaturze.“

W listach do pani Jadwigi Liskowej i innych nie brak takich wzmianek melancholijnych. To skarży się, że jest „jak duch, zjawiający się nocą na cmentarzyskach“, to się użala, że *„le vent ne souffle pas de son côté“*, że nie znajduje już ani czytelników, ani wydawców. Dla kogo pisać, gdy tego nikt nie czyta? pytał z żalem. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie układania rozmaitych materyałów i robienia notatek do różnych rzeczy, które chciałby jeszcze napisać. „Wszystko to — dodawał zaraz — są złudzenia, bo ja już nic nie napiszę, — a jeślibym co napisał, to by się to na nic nie przydało.“ [1]).

Na dolegliwości fizyczne szukał ulgi to w Gastein, to w Wildbad, to w Spa i często ją znajdował; na utrapienia moralne nie było rady. A ścigały go one niemal do ostatnich lat życia. W strasznej katastrofie wiedeńskiej, w pożarze Ringteatru, dawniejszej Opery komicznej, d. 8 grudnia 1881 r., zginął w liczbie sześciuset kilkudziesięciu ofiar, Kaczkowski, uczeń, jak zanotowała „Gazeta Lwowska“ w Nr. 282, z dnia 12 grudnia. Kaczkowski ten, dorastający już młodzieniec, był to, jedni mówili syn, a podług innych bratanek Zygmunta, syn jego rodzonego brata Waleryana, oficera wojsk austryackich, który zginął w Meksyku, w czasie nieszczęśliwej wyprawy Arcyksięcia Maksymiliana. W tym też czasie listy Kaczkowskiego do Smarzewskiego Seweryna mają żałobne obwódki. Te żałobne obwódki ukazują się znowu na jego listach w r. 1886 i 1892. To są daty śmierci jego siostrzenicy, Kazimiery Mikoszewskiej, i jego siostry rodzonej, Emilii Mikoszewskiej. Jakkolwiek niezbyt skory do zwierzeń, przyznawał Kaczkowski w liście do pani Jadwigi Liskowej [2]), że „ma familijne zgryzoty, które są prawie tragicznej natury, a które go męczą w sposób niewysłowiony“.

Te familijne zgryzoty, to był zapewne nieszczęśliwy los starszej siostry jego Emilii, zamężnej Mikoszewskiej. Kaczkowski spotykał się wprawdzie bardzo rzadko z tą swoją siostrą, a od czasu jej zamążpójścia w r. 1860 widział się z nią tylko raz jeden w r. 1878, kiedy bawił parę tygodni we Lwowie, gdzie pp. Mikoszewscy stale mieszkali. Niewątpliwie jednak interesował się losem tej jedynej już swojej siostry — losem jak najnieszczęśliwszym. Mąż

---

[1]) do pani Jadwigi Liskowej z Paryża, z d. 4 marca 1893. Ms.
[2]) z d. 24 lipca 1891. Ms.

jej, radca sądowy we Lwowie, złożony obłożną chorobą, przez lat pięć pozbawiony przytomności umysłu, zmarł, nie będąc w stanie zabezpieczyć utrzymania rodzinie, która znalazła się w ostatecznym niedostatku. Synek zgasł w ósmym roku życia. Córka Kazimiera w ośmnastym czy dwudziestym roku życia zapadła na groźną anemię, a gdy nie było odpowiednich środków do radykalnej kuracyi, zmarła z wycieńczenia w r. 1886, — wreszcie w kilka lat później zakończyła życie i jej matka, o czem doniósł Kaczkowski pani Jadwidze Liskowej w pełnym serdecznego bolu liście, z d. 10 września 1892 r.

Zygmunt Kaczkowski — wątpić się nie godzi — śpieszył tej swojej zubożałej rodzinie z materyalną pomocą. Snadź jednak nie była ona dostateczną i zapewne być nie mogła, albowiem podówczas fortuna Kaczkomskiego, mocno stratami giełdowemi nadszarpnięta, była przytem w ciągłym obrocie, zaangażowana w rozmaitych przedsiębiorstwach. W tem tkwił może ów tragizm „familijnych zgryzot", na który użalał się Kaczkowski.

Z wiarygodnych relacyj wiemy, że pomagał on chętnie rodakom na emigracyi, chociaż unikał pilnie takich, których posadzał o chęć „naciągania". „Polaków, którzy nie byli podejrzani o chęć taką — pisze nam świadek naoczny p. Adolf Wład. Inlender — przyjmował bardzo uprzejmie i szczerze, przez swoje stosunki im pomagał." Wiemy zkądinąd, że zdarzało się, że spotkawszy na ulicy znajomego rodaka i wypytawszy o jego stosunki, a domyślając się niedostatku, zapraszał go na obiady. W sprawach jednak emigracyjnych, sam nie będąc właściwie emigrantem, nie brał udziału. W liście do Adama Krechowieckiego [2]) pisze:

„Od kilku miesięcy wychodzą tutaj dwa pisma, jedno nowe: „Głos Polski", a drugie przekształcone z dawnego Gillerowskiego Kuryera: „Wolne Polskie Słowo". Jeden z panów polskich, mój bardzo dawny znajomy, którego przed trzema tygodniami tutaj widziałem, powiadał mi, że w Galicyi obiega wieść, jakoby „Głos Polski" był założony i dyrygowany przezemnie. Jeżeli ta wieść się oprze także o Pana, chciej Pan jej stanowczo zaprzeczyć. Ja, nie będąc emigrantem, nie biorę udziału w żadnych zgoła robotach emigracyjnych, ani nawet na żadnych naradach emigracyjnych nie bywam, chociaż z wielu stron jak najusilniej się o to starano. Moja styczność z emigracyą ogranicza się na tem, że

[1]) List z d. marca 1917 r.

[2]) z Paryża, z d. 26 października 1887 r. Ms.

chyba do każdej składki dam parę groszy, do której mnie zaproszą. „Głos" został założony podczas mojej nieobecności w Paryżu i jest organem Czytelni polskiej, do której ja nie należę. Jego redaktorem jest prof. Gasztowtt. Jest to zresztą pismo przyzwoite, bardzo umiarkowane i Austryi przychylne i nie wątpię, że takiem zostanie, przynajmniej dopóki Gasztowtt będzie jego redaktorem. „Wolne Słowo", to znów co innego. Jest to jakiś bigos socyalistyczno-rewolucyjny, którego inspiratorem czy nawet redaktorem, jest T. T. Jeż... którego odwiedziłem w Genewie, a który potem wierutne głupstwa o mnie popisał w „Przeglądzie Tygodniowym".

W odsobnieniu swem myślał jednak Kaczkowski ciągle o podjęciu rozmaitych prac literackich. O tych zamiarach wspomina nieraz w listach do pani Jadwigi Liskowej. Zaczynał pisać monografię Wincentego Pola, to znów pamiętniki własne. Skończyło się na znanem już dziełku, wydanem po śmierci Autora, p. t. „Mój Pamiętnik". Miał także na myśli pisać „Historyę Emigracyi", i tu skończyło się jedynie na jednym tomie powieści p. t. „Nasi Ojcowie".

Ostatnim utworem Kaczkowskiego, wydanym bezimiennie w r. 1893, po niemiecku, była broszura polityczna o działalności ks. Bismarcka. Wyjątki z tej broszury, w przekładzie polskim, podał „Przegląd" lwowski w r. 1894. Jako rzecz polityczna nie wchodzi ona w zakres niniejszego studyum: podajemy wszakże o niej to, co w tym przedmiocie pisał sam Kaczkowski do pani Jadwigi Liskowej. I tak w liście z Paryża, z dnia 4 marca 1893 r.[1]), czytamy:

„Pod koniec przeszłego roku, kiedy Bismarck w swoich konwersacyach z dziennikarzami nas tak zmaltretował, że nas całej Europie jako parszywe owce przedstawił, które wybić należy, widząc, że żaden Polak mu na to nie odpowiedział, napisałem broszurę po niemiecku, w której w imieniu Polaków dałem mu gruntowną odprawę. Pisząc tę rzecz nietylko dla Polaków, ale dla Europy, stanąłem na stanowisku wyższem nad politykę codzienną i rozebrałem jego czyny, jego charakter i jego moralne zasady z tego punktu widzenia, na którym swego czasu stanie historya. Miałem wzgląd na to, ażebym pociągnął na swoją stronę jak najwięcej ludzi myślących we wszystkich krajach, a o Polakach powiedziałem tylko to, czego nikt sprawiedliwy nie może zaprzeczyć..."

---

[1]) Zbiór Biblioteki Ossolińskich. Ms.

W jednym z następnych listów[1]) użala się Kaczkowski, że o tej broszurze żadne z pism polskich nie uczyniło wzmianki.

„O mojej broszurze przeciw Bismarckowi — pisze — niemieckie Dzienniki i Przeglądy dotychczas już przeszło dwadzieścia artykułów napisały, ale z polskich pism peryodycznych, o ile wiem, jeszcze żadne ani jednem słowem o niej nie wspomniało. O dziurach w prowincyonalnych mostach piszą sążniste rozprawy, ale jeżeli ktoś się w sprawie, obchodzącej całą Polskę, do Europy odezwie, to nie mają nawet trzech wierszy, ażeby ogłosić, że rzecz napisana w obronie polskiego narodu wyszła z druku. Pewien dziennikarz polsko-rossyjski, który mnie tymi dniami odwiedził, zapytany o to przezemnie, powiedział mi, że to się stało z dwóch powodów: raz dlatego, że pisma konserwatywne, skazawszy mnie na śmierć, nie chcą się przyczynić do dania mi nowego rozgłosu, — a powtóre dlatego, że broszurę tę w tłumaczeniu ogłosił „Przegląd“ lwowski, zaczem dzienniki liberalne uważały za swój obowiązek pokryć ją milczeniem. Gdyby tak było, gdyby nad interesami całego polskiego narodu panowały interesa osób i stronnictw, to przyszłoby już porzucić wszystkie nadzieje, bo z takiej matni sprawa polska nie potrafiłaby się już nigdy wydobyć. Ja w to nie wierzę, a to tem mniej, ileże broszura ta wyszła bezimiennie, a przeto jej autora nie można o to posądzić, aby szukał dla siebie rozgłosu. Ale teraz broszura ta się może nareszcie przez te zaściankowe niechęci przebije, albowiem berliński Przegląd: „Das zwanzigste Jahrhundert“ przyniósł w swoim zeszycie kwietniowym pierwszą jej krytykę, w której wypowiedział dwa zdania niezmiernej wagi: naprzód przyznaje mi słuszność — a mówi to Prusak. — że żelazem na cudzej skórze zjednoczone i pruskiej hegemonii poddane Niemcy, nie ziściły ideału niemieckiego narodu i w tej postaci nie mają zapewnionej przyszłości, — a potem powiada, że też Niemcy, nie mogąc jednocześnie stać na stopie wojennej z Polską i Rossyą, muszą pomiędzy niemi wybierać, a nie mogąc w żaden sposób pobratać się z Rossyą, muszą koniecznie jakoś porozumieć się z Polakami.“

I jeszcze w liście, z d. 16 maja 1894 r., pisze do pani Jadwigi Liskowej[2]):

„Z moją broszurą niemiecką niech Pani nie zadaje sobie wiele zachodu. Zdarza mi się tu czasem widzieć rozmaitych ludzi, przy-

[1]) z d. 23 kwietnia 1894 r., l. c.
[2]) Zbiór Biblioteki Ossolińskich. Ms.

jeżdżających z Galicyi; wszyscy mi mówią, że Galicya zajęła teraz stanowisko europejskie. Ja czytam dzienniki francuskie, angielskie i włoskie i nie widzę wcale, ażeby się który z nich zajmował tym krajem. O tem, co się dzieje w tym kraju, nigdy ani wspomnienia niemasz w tych dziennikach, jeżeli też czasem, a i to bardzo rzadko, który z nich, mówiąc o posiedzeniach wiedeńskiego Reichsratu, musi z konieczności wspomnieć o jakim mowcy albo ministrze Polaku, to zawsze nazywa go Galicyaninem, a nigdy Polakiem. Tak samo i Stanisława Rzewuskiego, o którym z powodu jego dramatów często piszą zachodnio-europejskie dzienniki, wszystkie nazywają go Slave, nigdy Polonais. Tylko dzienniki niemieckie jeszcze się nami zajmują i nazywają nas zawsze Polakami, zaczem tylko przez nich mamy jeszcze otwartą drogę do Europy. Dlatego też ja moją broszurę napisałem nie po francusku, tylko po niemiecku. Dzienniki niemieckie ją wielokrotnie podniosły i jeszcze ciągle podnoszą, i zawsze jako rzecz polską; jeżeli Galicyi, zadowolonej tem „stanowiskiem europejskiem", jakie w swem rozumieniu zajęła, to jest obojętnem, to nie warto się tem dalej zajmować."

Na powieści „Święta Klara", o której mówiliśmy powyżej, i na napisaniu tej niemieckiej broszury, wydanej bezimiennie, kończy się działalność pisarska Zygmunta Kaczkowskiego. Dwa dalsze, ostatnie lata jego życia były już tylko powolną agonią.

Do ostatnich jednak czasów myślał jeszcze o napisaniu swych pamiętników. „Jeżeli kiedy moje pamiętniki napiszę — czytamy w liście jego do pani Jadwigi Liskowej [1], — a mianowicie jeżeli je posunę po za rok 1864, to tam opowiem wiele rzeczy, którem widział i słyszał w sferach dyplomatycznych europejskich. Ale to jeszcze daleka droga. Te pamiętniki zacząłem już pisać przeszłego roku i napisałem około stu kartek, alem je przerwał, bom spostrzegł, żem je zanadto zacieśnił. Czyli i kiedy się znów do nich zabiorę, to będzie zależeć od stanu mego zdrowia, zwłaszcza, że to jest praca, wymagająca nietylko natężenia pamięci, ale także grzebania w notatkach i korespondencyach, których przez tyle lat całe stosy mi się nazbierały. Jeżeli zaś wrócę do tej roboty, to moim celem będzie przedewszystkiem opisanie lat od 1833—1864, kiedy mieszkałem w kraju i na ówczesne wypadki z bliska patrzałem. Pamiętnik taki, zwłaszcza z lat 1833—1849, napisany przez naocznego a bezstronnego świadka tych czasów, byłby pożytecznym, a mojem zdaniem nawet potrzebnym, bo społeczeństwa mają krótką

[1]) z d. 16 maja 1894. Zbiór Biblioteki Ossolińskich. Ms.

pamięć, zazwyczaj wnuk już nie wie, co się działo za jego dziada, a u nas przyczynia się jeszcze do wykrzywienia przeszłości zaślepiona walka stronnictw, które się biją nietylko pomiędzy sobą, ale także na plecach ojców i dziadów swych przeciwników. Bezstronnie osądzić tę przeszłość może tylko ktoś taki, kto ją sam widział, a dziś nie należy do żadnego stronnictwa. Owóż te czasy, które były przepełnione niezliczonymi spiskami, a skończyły się dwoma rewolucyami w r. 1846 i 1848, dla kogoś takiego, jak ja, który znał wszystkich znamienitszych ludzi ówczesnych i sam był wszędzie, gdzie było gorąco, to już jest gmach wielki, na którego pomieszczenie co najmniej kilku tomów potrzeba, — ale też to tylko może dla polskiego czytelnika być zajmującem; to zaś, com później widział i słyszał w moich wędrówkach po całej Europie zachodniej, choćby się tam znajdowały rzeczy bardzo ciekawe, jest dla polskiego ogółu prawie całkiem obojętne, bo przez ten czas w tej części świata o polskiej sprawie wcale mowy nie było. Jednak, jak powiedziałem, napiszę i to, — jeżeli siły wystarczą.“

Nie wystarczyły! Do dawnych cierpień płucnych i reumatyzmowych przyłączyły się zastarzałe niedomagania pęcherzowe, które położyły kres temu życiu, obfitemu w wypadki, bole i rozczarowania.

Od r. 1894 przeczuwał Kaczkowski bliski swój koniec i dlatego usiłował uporządkować swoje interesy materyalne, rozproszone w rozmaitych przedsiębiorstwach. Jaki majątek zostawił po sobie? tego dziś zbadać niepodobna. Wedle podania ś. p. Eugeniusza Korytki, najbliższego w ostatnich czasach przyjaciela Zygmunta,[1]) wszystko, co on posiadał, aż do mieszkania i mebli, zapisał swej, od lat 32 towarzyszce życia, Francuzce, Maryi Cayez, z którą na trzy miesiące przed śmiercią wziął ślub, a która wychowała mu od dzieciństwa, od 6 roku życia, owego syna czy bratanka, który jako student zginął w pożarze Ringteatru w Wiedniu. Tejże żonie zapisał całe swe mienie. Były to papiery wartościowe, jednak bez żadnej wartości, jak n. p. akcye kopalni węgla w Siedmiogrodzie, czy na Węgrzech, coś na 1,700.000 koron. Kopalnie te nie były nigdy eksploatowane, to też wdowa, pani de Pomian, za radą prawników zrzekła się tego spadku, który mógł ją drogo kosztować, gdyż akcye nie były całkowicie spłacone. Nadomiar rodzina Kacz-

[1]) List Eugeniusza Korytki do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 18 kwietnia 1914. Ms.

kowskiego groziła wdowie procesem, lecz w obec zrzeczenia się spadku sprawa ta upadła.

Była to rodzina dalsza, bo krewnych z ojca Kaczkowski już nie miał, po śmierci sióstr obu. brata Waleryana i owego domniemanego synowca. Wystąpić więc chcieli do sporu niektórzy członkowie rodziny Niklewiczów, do której należeli urodzeni z Ludwiki z Niklewiczów Zbrożkowej, Piotr Zbrożek, sekretarz magistratu z Rohatyna, siostra jego Helena Sochaniewiczowa z Bursztyna. Walerya z Niklewiczów Zbiegieniowa z Gródka. Aniela z Niklewiczów Ablewiczowa z Radymna, wreszcie ciotka Zygmunta. Józefa z Niklewiczów Kwiecińska, mieszkająca w Tarnawce niżnej w powiecie Turczańskim. [1])

O tej rodzinie swojej, zubożałej zapewne i nazwiskami rodowemi nie błyszczącej, nie wspominał nigdy Zygmunt Kaczkowski i prawdopodobnie nie miał z nią żadnych stosunków. Jednakże jakto wynika z listu Ludwiki Zbrożkowej. pisanego do s. p. Eugeniusza Korytki z d. 24 września 1896 [2]), biblioteka jego, zapewne bogata, pozostała w przechowaniu u tej p. Zbrożkowej w Rohatynie, a częścią u jej córki Heleny Sochaniewiczowej w Bursztynie. „Wyraźnej woli co do tej Biblioteki — wedle twierdzenia ś. p. E Korytki — Kaczkowski nie zostawił.“ Przypuszczał jednak Korytko, że „żonie swej, zostawił on nie testamentem, lecz za życia taką fortunę, że może żyć skromnie, ale przyzwoicie.“ Wdowa wszakże, zaprzeczyła temu i w rozmowie z Korytką oświadczyła. że mąż nic nie zostawił, i że ona sama w ciągu wspólnego z nim pożycia, zaoszczędziła sobie tyle. że może żyć spokojnie. [3])

Prawa swe autorskie przekazał Kaczkowski testamentem Towarzystwu historycznemu we Lwowie.

Smutne, przerażająco smutne musiały być ostatnie lata życia Zygmunta Kaczkowskiego. Udziału w sprawach publicznych nie miał już żadnego, co dla nawykłego do ruchu i działania, musiało być samo przez się wielką przykrością. Dopóki jeszcze wychodził dwutygodnik „Głos Polski“, wydawany przez Wacława Gasztowtta, a w skład redakcyi którego wchodzili emigranci z r. 1863: Ludwik Dygat, Józef Gałęzowski, Eugeniusz Rubach. całe to grono schodziło się w mieszkaniu Kaczkowskiego. Na tych zebraniach mógł on jeszcze dać folgę swej werwie i rozprawiać żywo a go-

---

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[3]) Z przytoczonego powyżej listu E. Korytki.

rąco o sprawach politycznych, a przedewszystkiem o Polsce. [1]) Lecz „Głos Polski“ upadł z braku funduszów, a odtąd zabrakło Kaczkowskiemu i tego żywiołu. W organie tym pisywał on krótkie notatki najczęściej z Galicyi, a zamieścił tam także dłuższy artykuł o ks. Waleryanie Kalince, w którym to artykule, polemizując z oceną pism Kalinki, zamieszczoną w „Przeglądzie Polskim“, popuścił jeszcze raz wodze swej niechęci do autora „Czteroletniego Sejmu“ i „szkoły krakowskiej“.

Z każdym odtąd upływającym rokiem ogarniała go większa pustka. „Inny teraz świat — skarżył się — może on mnie nie rozumie, a może i ja jego nie rozumiem!“ Gryzło go to, że o nim i jego pracach dzienniki milczą; czasem pocieszał się tem, — smutna pociecha! — że po jego śmierci dużo o nim pisać będą, bo on zawsze w swoich dziełach poruszał sprawy żywotne dla społeczeństwa.

I to niewątpliwie jest prawdą. We wszystkiem, co pisał, a zwłaszcza w swych powieściach współczesnych, Kaczkowski miał pewien cel społeczny na oku, jakąś mniej lub więcej wyraźną tendencyę, która też nieraz przynosiła uszczerbek artystycznej ich stronie, lecz nadawała im zarazem trwalszy charakter. Werwa polemiczna, której nigdy pohamować nie umiał, zawziętość stronnicza i upor w raz powziętych uprzedzeniach zrażały do niego zarówno stronnictwa całe jak i ludzi. Gasł samotny na obczyźnie, bez krewnych i niemal bez przyjaciół. A im bliżej było końca, tem dotkliwiej dawała mu się odczuwać krzywda, wyrządzona jego patryotycznym uczuciom w r. 1863. Myśl o tej krzywdzie gryzła go nieustannie.

„W ostatnich dwóch miesiącach swego życia — pisze Eugeniusz Korytko [2]) — przysyłał prawie codziennie po mnie i mówił ze mną prawie wyłącznie o swej „sprawie“ z r. 1863. Ta sprawa bolała go nie wymownie; oddał mi swoją obronę, napisaną własnoręcznie [3]), zaklinał, żebym bronił jego czci i honoru, mówiąc, że spokojnie umrze, jeśli mu dam przyrzeczenie, że bronić go będę w razie, gdyby ta sprawa była jeszcze przeciw niemu podniesiona. To był ostatni ból, ostatnia męczarnia człowieka niewinnego.“

---

[1]) Z listów Korytki w mojem posiadaniu.

[2]) List do Adama Krechowieckiego z Paryża, z d. 18 kwietnia 1914 r.

[3]) Ś. p. E. Korytko złożył ją w Muzeum rapperswilskiem. Przytoczyliśmy ją dosłownie w miejscu właściwem.

Wreszcie dnia 18 sierpnia 1896 Eugeniusz Korytko otrzymał od Kaczkowskiego kartkę następującej treści:

„Proszę Pana kochanego zajść do mnie dziś, albo którego z następnych dni, najlepiej między 3 a 6 1/2 po południu; muszę Panu zrobić pewną komunikacyę, jednak nic nieprzyjemnego dla Pana. Szczery przyjaciel *Z. Kaczkowski.*"

W parę dni później, dnia 22 sierpnia, nowy liścik, pisany ołówkiem na kartce małej, zwykłego papieru:

„Mimo wszystko dwie najważniejsze rzeczy przecież się zapomniało: dlatego proszę Pana, abyś był łaskaw wpaść do mnie między 3 a 6 1/2 celem wysłuchania deklaracyi oficyalnej testamentowej. Cała konferencya będzie trwać 10 minut, a dla mnie będzie to ulga ogromna."

O treści tej deklaracyi dowiadujemy się z pisma Kaczkowskiego do Eugeniusza Korytki. Pismo było zapieczętowane w kopercie i zaadresowane ręką Kaczkowskiego, ołówkiem, pismem bardzo już drżącem:

À Mr. Korytko, 45, rue de Trévise.

À lui remettre en cas de ma mort.

Na podłużnej kartce zwykłego papieru czytamy, także własnoręcznie przez Kaczkowskiego skreślone, te słowa:

„Na kilka dni przed śmiercią p. Zygmunta Kaczkowskiego było u niego kilku Polaków i była mowa o tem, z jaką łatwością rzuca się podejrzenia na rodaków, często już wtedy, kiedy jeszcze ich grób trawa nie porósł. Z tego powodu rzekł Kaczkowski: „Korzystam ze szczęśliwego wypadku obecności Panów u mnie, aby im zrobić solenną deklaracyę z prośbą podania jej dalej, a w danym razie nawet do wydrukowania w dziennikach: że ja nie mam ani jednej łzy bratniej, ani jednego grosza nieuczciwie zarobionego, a wreszcie ani jednej kropli krwi ludzkiej na mojem sumieniu.

„Do tego dodaję z równym naciskiem, iż schodzę z tego świata, nie zostawiając ani grosza długu, żadnego niedotrzymanego zobowiązania, żadnego danego przyrzeczenia, któregobym nie dopełnił."

„Może lepiej — dorzucił Kaczkowski — tę część opuścić, bo każdą deklaracya, im krótsza, tem jest silniejsza."

Istotnie ostatni ustęp od słów: „Do tego dodaję" przekreślony jest ołówkiem.

U dołu jeszcze słowa:

„Na wypadek potrzeby stwierdzam tę deklaracyę własnoręcznym podpisem. *Zygmunt Kaczkowski.*“ [1])

Z tego się okazuje dowodnie, że Kaczkowski obawiał się, aby owa „sprawa“ jego z r. 1863 nie była jeszcze raz wznowiona po jego śmierci. Powyższą więc deklaracyą, złożoną w ręce przyjaciela, pragnął bronić swojej czci z za grobu. — To była jego troska, jego myśl ostatnia. A ztąd wnosić można, jak bardzo on cierpieć musiał, zmuszony żyć tak długo, wśród obcych, z żywą zawsze w sercu tęsknotą za krajem, z ciężarem owego „brzydkiego“ wyroku lwowskiego na duszy.

Zgasł spokojnie, bez cierpień konania, z rana o godzinie 6-tej, dnia 7 września 1896 r., o czem żona jego natychmiast doniosła egzekutorowi testamentu i wiernemu przyjacielowi zmarłego, Eugeniuszowi Korytce.

Zwłoki złożono na cmentarzu w Montmorency. Na pogrzeb przybyło niewiele osób. Jako delegat Akademii Umiejętności przybył dr. Józef Korzeniowski, a prócz niego byli obecni: Władysław Mickiewicz, Wincenty Kosiakiewicz, oraz grono literatów. Nad grobem w ciepłych słowach przemówił dr. Józef Korzeniowski. [2])

Na kartkach żałobnych widniał napis: *Sigismond de Pomian Kaczkowski. Historien, publiciste et romancier polonais.*

Wdowa wzniosła na mogile piękny nagrobek, na którym jest napis w języku polskim i francuskim, ułożony przez p. Wacława Gasztowtta:

Zygmunt Kaczkowski. Urodzony w r. 1826 w Bereżnicy [3]), *umarł w Paryżu 7 września 1896.*

Całe życie walczył piórem za Ojczyznę.

Sigismond Kaczkowski. Né en 1826 à Bereżnica (Pologne) mort à Paris le 7 septembre 1896.

A combattu toute sa vie par la plume pour la cause de sa Patrie.

„Całe życie walczył piórem za Ojczyznę!“ I to jest niewątpliwie prawdą. Miłość Ojczyzny kierowała zawsze jego piórem; pragnął Jej dobra, szukał go czasem w niewłaściwych kierunkach, dając się unosić swemu temperamentowi, ambicyi, nie-

[1]) Ze zbiorów rapperswilskich. Ms.

[2]) „Wędrowiec“, 1869.

[3]) Jak nam wiadomo, daty te są mylne.

chęciom stronniczym, goryczy, ale na dnie wszystkich jego działań i pism gorzała zawsze pełnym płomieniem ta miłość, spotęgowana później jeszcze nieukojoną tęsknotą. Wśród wiru spraw dyplomatycznych, publicystycznych i finansowych, nie zapomniał Kaczkowski nigdy, że jest Polakiem. Takim objawia się on nam w swoich listach, z których przytoczyliśmy najważniejsze wyjątki. W nich, że powtórzymy jego słowa, „rozdziera on istotnie swoją sukmanę na piersiach“. Ukazuje nam swój umysł bystry, lotny, niepospolity wiedzą i talentem, ogarniający szerokie horyzonty, i swoje serce, przesiąknięte wprawdzie goryczą, tryskające czasem płomieniami gniewu i zawiści, odczuwające do ostatniej chwili doznaną krzywdę, kurczące się nieraz w nadmiernym bolu, ale miłości Ojczyzny zawsze pełne i tęskniące do niej, aż do ostatniego tętna.

W listach tych staje przed nami cały, niepospolity człowiek, ze wszystkiemi wadami swemi i zaletami, z długoletniem cierpieniem swem i smutkiem tułaczym. Ukazanie go w tem świetle było jednym z celów tej pracy, pisanej *sine ira et studio.*

Adam Krechowiecki.

Karol Baliński.

(Studyum biograficzno-literackie.)

(Ciąg dalszy.)

Wyjątków z innych wymienionych artykułów nie będziemy tu przytaczać; traktaty te, jak je można nazwać, są zbyt obszerne i wypełniają naraz po kilka stron czasopisma „Krzyż a miecz"; artykuły polityczne zdają się być także pracami Balińskiego, bo styl i duch myśli przewodniej stwierdza nasze domysły. Z tego więc wynika, że właściwym redaktorem był Baliński, a tylko widocznie ze względu na trudności lokalne dał swą firmę E. Estkowski. Pismo to zyskało w swoim czasie uznanie i powodzenie, lecz już z końcem maja 1850 r. zostało zawieszone. a Baliński przed dalszem prześladowaniem rządu pruskiego wyjechał powtórnie do Paryża, tym razem już na stały pobyt.

Życie jego na gruncie paryskim jest nam bardzo mało znane, gdyż pomimo najstaranniejszych poszukiwan po najrozmaitszych źródłach, nie mogliśmy zebrać jakichkolwiek wiadomości, odnoszących się do życia paryskiego poety. Pisma zaś pośmiertne, wśród których niewątpliwie znajdzie się i pamiętnik Balińskiego, spoczywają dotąd w bibliotece Muzeum polskiego w Rapperswylu. Mimo starań, Zarząd biblioteki nie zezwolił na korzystanie z puścizny pośmiertnej, gdyż otwarcie depozytu zastrzeżone było testamentalnie dopiero na rok 1917, czyli w stuletnią rocznicę autora. Wiadomo nam jedynie, że żył w serdecznych stosunkach z Nabielakiem. Karolem Różyckim i Goszczyńskim; na ten okres trzynastoletniego pobytu we Francyi przypada właściwa działalność literacka Ba-

lińskiego: wydał szereg dzieł większych i mniejszych, które kolejno, jak wychodziły, będziemy się starać według możności scharakteryzować.

Po wyjeździe z Poznania do Paryża 1850 r. zaraz w następnym roku, t. j. 1851, wydał Baliński nakładem W. Stefańskiego w Poznaniu poemat p. t. „Grosz wdowi“; dochód z rozsprzedaży przeznaczył poeta na korzyść braci-tułaczy, kształcących się we Francyi. W poemacie tym, napisanym pięknym i melodyjnym wierszem ośmiozgłoskowym, na początku wyraża poeta myśl, że naród polski przetrwa zwycięsko wszystkie prześladowania i krwawe tortury wrogów, bo go spaja w jedność nierozerwalnem ogniwem myśl-pieśń naszych wieszczów-tułaczy, którzy mocą czarodziejską swych lutni tchnęli weń niepożytą siłę i uczynili go niepodzielnym, bo ukrytym w niezwyciężonej i nieczułej na pociski wrogów zbroi pieśni:

Z pieśni cała twoja zbroja
I siła, i niepodzielność;
Z pieśni cała przyszłość twoja,
Zwycięstwo i nieśmiertelność!
. . . .

Na pochmurnem Polski niebie nie widzi poeta ani słońca, ani księżyca, ale tylko gwiazdy żarzące się „tajemniczo, rzewnie, smutnie“ i zanoszące bolesną skargę do Boga. — To lutnie naszych proroków-wieszczów, które świecą nad sierocą dolą narodu, którzy swym zapałem wlewają w dziecięce serca sierót polskich tę wieczną tęsknotę do wolności, choć droga prowadzi:

Przez męczarnie i tortury,
Przez podziemne min ciemnice,
Przez pale i szubienice...
. . . .

Smutne jest życie wygnańców, którzy po obcych krajach przelewali krew za wolność:

Tułacz polski!... Ach! to miano
Wczoraj jeszcze, pełne czci,
Wczoraj hymny mu dawano,
A dziś napój z łez i krwi!
. . . .
I za tyle bolów, trudów
Ani jeden wdzięczny głos!
. . . .
Świat cały szyderczym śmiechem
Bluźni dzisiaj tułaczowi...

Lata tułaczego życia na obczyźnie, to lata nieustannej tęsknoty za krajem, zaprawionej zarazem przykrą nad wyraz troską o byt, — to ciągła walka z biedą, walka nie o wygody, lecz utrzymanie się przy życiu. Poeta nasz nie o sobie mówi, nie o siebie się troska, ale o braci, ginących z głodu na wygnaniu i na ich to korzyść rzuca w świat swój piękny poemacik, rzuca go na polską ziemię, aby bracia rodacy pamiętali o losie tułaczów. Dalej poeta przypomina Polsce, że w dniach żałoby, z powodu śmierci Matki-Ojczyzny nie powinna stroić się w błyszczące złotem szaty i klejnoty, bo te kosztowności powinna złożyć na ołtarzu miłości Ojczyzny, bo za nie może osuszyć niejedną łzę zwątpienia i niejednego wygnańca ochronić od rozpaczy, winna więc stanąć przed swym oblubieńcem w wieńcu kwiatów, ozdobiona perłami łez, które wygnańcom osuszyła. Zajrzał poeta myślą i do zamku pana, który mimo późnej pory ciągle jeszcze czuwa, ponieważ wyrzuty sumienia nie dają mu spokoju i sen odbierają powiekom; poeta zna przyczynę tej walki wewnętrznej i wypowiada mu ją w oczy:

Boś ty, panie, dusza chory!
Ty wygnałeś Polskę z piersi,
A z nią wszelką myśl poczciwą!
Straszna próżnia pierś ci gniecie,
Czegoś szukasz wciąż po świecie,
Ale rady niema tobie
Nigdzie, nigdzie, nawet w grobie,
Boś ty Polskę zabił w sobie!

Pomoc dla braci-tułaczy winna płynąć ze szczerego serca, bo milszy grosz wdowi, niż tysiące, pochodzące z rąk skąpca, który je ofiaruje dla jakichś ubocznych swych celów. Poeta kończy swój utwór widzeniem napowietrznych postaci: są to bracia-tułacze, których rozpacz zabiła na obcej ziemi: ich duchy unoszą się nad Polską i tęsknią wiecznie do niej, gdyż za życia zwątpili o Polsce i po śmierci właśnie ten grzech zwątpienia odgradza ich od Ojczyzny, podobnie jak od Boga:

Bo Polski niema bez wiary!
Bo taż sama wiedzie droga
Do Polski, co i do Boga.

Poemacik ten jest przepojony nawskróś głębokim liryzmem, na jaki tylko może się zdobyć ogromnie wrażliwa dusza poety; formą przypomina „Psalmy“ i „Przedświt“ Krasińskiego i nawet

w niektórych miejscach daje się zauważyć ich wpływ. Pod względem ogólnej kompozycyi czyni ten utwór wrażenie jakby improwizacyi. jest to jakby wylew improwizowany uczuć, które troską o los tułaczy-braci zakłócają spokój duszy poecie, czy też wzmagają niepokój duszy, bo on spokoju w właściwem znaczeniu nigdy nie zaznał.

W roku 1854 wydał Baliński w Jersey, w Anglii. spory tom poezyi p. t. „Myśli serdeczne“, który obok trzech większych poematów zawiera kilka drobniejszych utworów. W przedmowie do tych poezyj mówi poeta, że długo zastanawiał się nad zagadką, jakiej ofiary potrzeba, by Bóg wrocił nam Polskę, i przyszedł wreszcie do przekonania, iż jedyną godną ofiarą jest łza serdecznej skruchy, serdecznego żalu. co wszystkie grzechy narodowej przeszłości zmaże, a wszystkim cnotom przygasłym nadaje życie, wzrost i rozwinięcie. — „Bez takiej łzy serdecznej — powiada Baliński, — ofiarnej, pokutnej, choćbyśmy morze krwi swojej i wrażej wylali, choćbyśmy wszystkich wrogów wycięli w pień, choćbyśmy im całą polską ziemię od morza do morza wydarli — Polski nie będzie...... Nie myślmy i nie gadajmy o Polsce, bo Polski bez ducha Bożego. bez myśli Bożej, bez Boga nie było, — niema i nie będzie...... Ludziom. światu i wrogom musimy dać krew i dużo tej krwi, ale Bogu musimy dać dar, stokroć dla nas cięższy, musimy dać żal za grzechy popełnione i przyrzeczenie poprawy na przyszłość, — musimy dać jednem słowem: łzę skruszonego winowajcy. Otóż pono i cała treść Myśli moich serdecznych, z bardzo małym wyjątkiem.“ — Jak widzimy, Baliński ma jeden nastrój myśli, względnie jeden stały punkt patrzenia: nie pojmuje absolutnie Polski, jak tylko chrześciańskiej — a tej chrześciańskiej nie będzie, jeśli naród nie uderzy się w piersi, nie uzna swych ciężkich win, nie wyleje łez pokuty, łez serdecznych, korząc się za grzechy przed Bogiem. Ta ostatnia myśl rozwinęła się w duszy poety widocznie już pod wpływem nauki mistycznej Towiańskiego, który ciągle zalecał skruchę i kajanie się przed Bogiem. Baliński jednak ma szerszy punkt widzenia. On w tym wypadku ma na myśli naród polski, — naród, według jego przekonania, winien uznać bez zastrzeżeń, bez ogródek swoje winy, swoje grzechy przeszłości, winien powiedzieć sobie szczerze: „źle było, więc teraz należy pracować, by naprawić to zło, by wykorzenić te błędy dawne, by zmyć hańbiące nas plamy“, a zmazać to wszystho należy w myśl nauki Chrystusa, w myśl ewangelii. Polacy nie postępowali po chrześciańsku, bo trzymali i gnębili w niewoli własnych braci-

kmieci, wyparli się więc Chrystusa, który głosił równość, miłość i braterstwo: Polska upadła, gdyż zstąpiła z drogi Bożej, z drogi Chrystusa, — powstanie zaś, gdy uzna swoje ciężkie winy, odrodzi się na duchu i na dowód skruchy wyleje łzę serdeczną przed Bogiem. — Oto idea i wiara poety, przewijająca się w „Myślach serdecznych“, z bardzo tylko — jak sam mówi — małym wyjątkiem. Zbiór ten rozpoczyna poeta rzewnym i melodyjnym wierszem, w którym z prostotą i skromnością wyraża smutną wiarę, że pieśni jego przebrzmią prawie bez echa, prawie bez pamięci; przytaczamy tu parę zwrotek:

Wiem, że śpiew mój przeminie,
Jak głos fletu w dolinie,
Jak młodzieńcze marzenie,
Jak serdeczne westchnienie.

Wiem, że zabrzmi i skona,
Jak ma młodość stracona,
Jak tułacze tęsknoty,
Jak łzy rzewne sieroty.

Jednak śpiewać ja muszę,
Póki piersi nie skruszę,
Póki deska grobowa
Przed ludźmi mię nie schowa.

Bo od dni mych pierwiosnka
Łzami była mi piosnka —
Gdy ból serce rozrywa,
To mi w duszy coś śpiewa.

. . . .

Smutnom młodość przewłóczył,
Los piosenek mię uczył,
Smutnaż piosnka, jak dola —
Oj! nie moja w tem wola.

. . . .

Z poematów mamy tu: „Żniwiarze roku 1849“, „Dwa morza“ i „Duch lilii białej“. — „Żniwiarze jest to poemat dyalogowy z chórami, na wzór klasyczny. Występują tu poszczególne narody Europy z ciężką skargą za rok 1848 i za dawniejsze lata. Francya bowiem dała hasło do wybuchu rewolucyi i w innych krajach, była zawsze inicyatorką i przodowniczką we wszelkich ruchach wolnościowych, wszystkich więc narodów oczy, pragnących uwolnić się z jarzma despotyzmu, z utęsknieniem zwracały się ku niej;

tymczasem ona, po daniu inicyatywy do walki o wolność, nie oglądała się już na narody, idące za jej przykładem i nie troszczyła się bynajmniej o zwycięstwo idei w całem tego słowa znaczeniu. Wzywała ludy do walki, doznawała nawet ich pomocy za różne obietnice, których nie miała zamiaru szczerego dotrzymać: najlepszy w tym względzie mamy przykład na Polsce, która tylekroć krew przelewała za wolność w szeregach Francyi, łudząc się wiecznemi jej obietnicami, aż w końcu została zdradzona otwarcie. Narody więc oskarżają tu Francyę, jako inicyatorkę rozlewów krwi, którym się z lubością oddaje. nie widząc w niej wcale krzewicielki i przodownicy idei wolności, za jaką się może sama uznaje: W końcu chór ludów rzuca jej przekleństwo:

Szkielecie Francyi! Judaszu ludów!
Za tyle świętych a próżnych trudów,
Za tyle marnie przelanej krwi
Sługo ty carska! przekleństwo ci!
Za tyle marnie przelanej krwi
Kacie narodów! przekleństwo ci!

Podobne refleksye nasunęły poecie niewątpliwie, prócz faktów z przeszłości, głównie stosunki w łonie samej Francyi roku 1848. Główni prowodyrzy i sprawcy rewolucyi lutowej, jak: Mirabeau, Robespierre, Marat, Danton, Carniere i inni, plamili ręce w krwi wielu niewinnych ofiar, poeta zaś nasz, który na tej drodze nie upatrywał zwycięstwa rzetelnej idei wolności, — gdyż walka mieczem nie odbywała się pod godłem Krzyża, pod znakiem idei chrześciańskiej, w zbroi cnoty — dał właśnie wyraz swoim rozmyślaniom w tym w formę dyalogu ujętym poemacie.

Najpiękniejszym bezprzecznie utworem pośród całego zbioru, odznaczającym się niezwykłą pięknością języka i głębokością smutnego, rzewnego uczucia a zarazem męską siłą wyrażenia, — jest poemat „Dwa morza“, napisany w sierpniu 1852 r., w Cette, nad morzem Śródziemnem. w południowej Francyi, dokąd Balinski wyjechał z Paryża dla pokrzepienia zdrowia; po drodze bawił także w mieście Nimes, które skupiało wielu wygnańców i było niejako. prócz Paryża, drugiem ogniskiem ducha polskiego. — W poemacie „Dwa morza“, podzielonym na sześć ustępów. ujętym w piękne sekstyny, porównywa poeta morze do serca, które uważa za drugie morze. Dla okazania jego piękności uważamy za rzecz pożądaną przytoczyć niektóre strofy:

Cicho tu, cicho — a smutno przecie!
Cicho, jakgdyby na krańcu światów,
Jakby już nigdzie na całym świecie
Nie było cierpień i łez i katów.
Cicho! — a serce przemawia głośniej,
Och! i miłośniej, och! i żałośniej!

Jak na kirgiskim tam niegdyś stepie
Natężam ucho na głosy z kraju,
Pytam się ptactwa na niebios sklepie
O wieści z mego ziemskiego raju.
Zawsze tęsknota! zawsze i wszędzie!
Tu jest — tam była — czyż zawsze będzie?!

W drugiej strofie odzywa się w duszy poety ta rzewna tęsknota za rodzinnym krajem, która ściga wiecznie przez los tułaczy prześladowanego pieśniarza. Strofy te przypominają nam mimowoli dwie ostatnie strofki ze „Stepów akermańskich“ Mickiewicza:

...Jak cicho!... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie doścignęły źrenice sokoła:
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,
Kędy wąż ślizką piersią dotyka się zioła.
W takiej ciszy — tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy, nikt nie woła!

Drugi ustęp poematu rozpoczyna poeta szczerem uczuciem zachwytu z powodu piękności morza; wszystkie te atoli czary nasuwają tylko poecie na pamięć kraj rodzinny, który tu ubiera jego tęsknota strojną szatą tych uroczych, tęczowych barw i świateł:

Ach! tak się właśnie stroją nasze bory
Mgłą fioletową razem i błękitną:
Ach! w takie właśnie urocze kolory
Nasze fiołki i modraki kwitną!
Ach! taki błękit, jak w morza przeźroczach
Widziałem niegdyś, niegdyś!... w lubych oczach!

I oto dzisiaj — cały śród błękitu,
Gdziekolwiek tylko oczami zawładam,
Gdy u nóg błękit, błękit mam u szczytu,
Gdy w tych błękitach gdzieś niknę, przepadam
Nagle zbudzony — takie mam wrażenie,
Jak kiedym patrzał w oczy... precz wspomnienie!

Choć nie mamy zamiaru zarzucać poecie rozmyślnego naśladownictwa — raczej dla uwydatnienia i mimowolnej analogii myśli i uczuć przytoczymy tu znowu wiersze „Pielgrzyma“ z sonetów krymskich:

Litwo! piały mi wdzięczniej twe szumiace lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice:
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki, tak różna wabi mię ponęta:
Dlaczegoż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Z dalszych części poematu przytaczamy także niektóre zwrotki, gdyż z powodu ich piękna nie możemy uchylić się od tej miłej powinności:

Śliczne to morze! pozornie spokojne,
Ale tam, w głębi straszne szumią spory;
Udaje spokój, a wciąż toczy wojnę.
Łono mu szarpią wiry i potwory...
Toć i jam także cichy, — a któż zliczy,
Co to tam w sercu bolu i goryczy!

. . . .

. . . .

Czasem, choć wichry daleko uciekły,
Morze wre szałem, gniewem ciska piany,
Wzdyma się całe: — czy duch jaki wściekły,
Zalany, pcha się w górę? czy wulkany?
Ha! któż przeniknie, co tam w głębi na dnie
A serca dziwny niepokój — któż zgadnie?!

Refleksye, zawarte w tych strofach, przywodzą nam reminiscencye myśli „Ciszy morskiej“ z sonetów krymskich:

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.
O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

Uzasadnione wiec będzie twierdzenie, iż Balinski napisał swój poemat pod wpływem sonetów Mickiewicza, jednak bez rozmyślnej chęci jakiegokolwiek naśladownictwa.

W dalszym toku utworu maluje poeta osobisty stan duszy stęsknionego i osamotnionego tułacza; gdy pod brzemieniem trosk i zawodów życiowych zaczyna słabnąć i upadać znękany duch poety, wówczas zwraca się myślą do Matki-Ojczyzny:

...Ach! jeszcze Tyś została, Matko!
Przed Twym obrazem pada myśl stroskana,
Gdy otoczona Twych synów gromadką,
Co ci pokładli głowy na kolana,
Tulisz pod skrzydła pieszczoną drużynę
I pod twe serce przygarniasz matczyne.

I wtedy jesteś tak święta — że nieraz
Aż w moją duszę wniknął promień rzadki,
Silny i jasny — tak, że jeszcze teraz
Na tej pustyni — ja, co nie mam matki,
Do ciebie gonię sercem i powieką —
Ale napróżno, Matko! Tyś daleko!...

Następnie poeta mówi, że nie należy rozpaczać ani płakać nad grobem Ojczyzny, bo to znaczy pogrążać ją coraz głębiej w grób, — ale trzeba z Bogiem pracować nad jej wskrzeszeniem:

O, chroń nas, Boże! płakać nad Ojczyzną —
Toć jest własnemi grzebać ją rękami.
Chroń nas, o Boże! Taka łza — trucizną!
Niby to czysta, a truje i plami,
I gasi ducha ostatnią iskierkę,
I miecz nareszcie rzuca w poniewierkę.
. . . .

Wreszcie kończy poeta swój poemat słowami pełnemi zapału i otuchy:

Hej, wiaro polska! na okręt! do fali!
Zerwać kotwicę! na wały! na wały!
A słońca ducha w górę! niech się pali!
A żagiel biały rozpuść na świat cały!
Jedyny hufiec wolności i wiary.
Ho, ho! żyjemy! Polska... drżyjcie cary!

Jeden z ustępów tego poematu był drukowany w „Dzienniku Literackim“ z r. 1857.

Poemat p. t. „Duch lilii białej“ jest właściwie powieścią poetycką, w której poeta przez usta gęślarza-lutnisty stara się za-

rysować dzieje Polski, głównie czasy porozbiorowe, mianowicie te smutne w następstwa epizody bohaterskich walk o wolność i niepodległość. Rycerz, występujący tu pod nazwą Czarnego, zdaje się być symbolem stanu magnackiego, którego przodkowie niektórych rodów, jak: Tarnowskich, Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Sobieskich byli uosobieniem narodowego bohaterstwa i odnosili świetne i pełne chwały zwycięstwa nad wrogami. Potomkowie zaś innych rodów tego stanu, jak: Radziejowscy, Braniccy, Ponińscy i inni, korząc się przed nieprzyjaciółmi własnej Ojczyzny, z czasem zaparli się Boga i zwyrodnieli, — zaparli się jej podobnie, jak czyni Czarny, w nadziei, że wróg za odstępstwo własnego narodu i za wyparcie się jego najświętszych ideałów, daruje mu karę śmierci, na którą skazał go za przewództwo w walce o wolność. — I oto, gdy ma ginąć na szubienicy, jako bohater narodu, w ostatniej chwili znęcony obietnicą wolności — wypiera się własnej Ojczyzny i walkę o wolność, w której sam jako bohater brał udział, nazywa buntem przeciw prawemu władcy:

Zaczął mowę pochwałą tyrana.
Wielbił jego rządów łaskawość
I dziękował w imieniu narodu
Za ojcowską nad krajem opiekę:
Wyznał, że już dla nas niema życia,
Niema innej drogi ocalenia,
Jeno w ścisłem z wrogiem połączeniu,
Wiecznem, jawnem, szczerem wobec świata.
Choćby przeciw światu całemu...
Wszelką myśl Ojczyzny niepodległej
Nazwał próżnem a zgubnem szaleństwem —
Skończył, zdrajcą mianując każdego:
Kto taksamo nie myśli, nie czuje,
Że syn taki Ojczyznę zabija
I ginie słusznie na szubienicy.

Wróg jednak za tak nikczemną hańbę kary śmierci Czarnemu nie darował, lecz skazał go na szubienicę. W więzieniu pozostali jeszcze dwaj młodsi bracia Czarnego, którzy — zdaniem naszem — symbolizują młodszą brać, szlachtę. Jeden z nich, młodzieniec jeszcze w kwiecie wieku, pod pozorem chęci ucałowania księgi własnego wyroku śmierci, czyli niejako uznania w obliczu narodu własnej winy wobec nowego władcy, — dzięki odwołaniu się na przepisy krajowe, zyskuje tuż przed śmiercią moment wolności, z którego pragnie skorzystać w celu zamordowania wroga: zamach ten

podstępny spełznał na niczem, gdyż wróg był doskonale zabezpieczony.

„Podług ustaw krajowych — rzekł nagle
Potępiony może żądać łaski,
Jednej łaski przed śmiercią — wszak prawda?
Otóż, jako skruszony przestępca.
Chcąc ledz w grobie, z grzechów oczyszczony,
Chciałbym dotknąć usty niegodnemi
Tego oto świętego pisania,
Które trzymasz w twoich rękach, sędzio,
Na znak i naukę mym ziomkom,
Jak czcić mają władzę sprawiedliwą.“

. . . .

I przestępca szedł zwolna po stopniach,
Aby podpis władcy ucałować;
A znać było po nim radość wielką,
Że mu oczy strzelały promieniem,
A gdy zbliżył się na krok do wroga,
Wtedy szybciej, niźli błysk pioruna,
O! sto razy prędzej, niż błysk myśli,
Wyrwał sztylet z za pasa u wroga
I uderzył w tę pierś poganina...

. . . .

Cios był silny — a jednak daremny:
Chytry wróg miał pancerz pod szatą,
Sztylet próżno zwinął się po stali,
Sędzia śmiał się swym śmiechem szatańskim...

. . . .

Młodzieniec ten, to ta część szlachty, która pragnęła drogą tajnych spisków, drogą podstępnej zemsty zdobywać wolność. — a które to środki, jak wiemy, okazały się bezskutecznymi i zawodnymi. Trzeci zaś brat Czarnego odebrał sobie życie w więzieniu; uosabia on znowu te jednostki szlachty, które po upadku Ojczyzny z rozpaczy odbierały sobie życie, lub po kazamatach więziennych z obawy, że podczas tortur może im braknąć siły do wytrwania w bohaterstwie i mogą dopuścić się zdrady.

...ten trzeci — słuchajcie —
Sam się zabił — jak mówił, konając,
Że z obawy, aby mu w męczarniach
Nie zabrakło siły do wytrwania.

. . . .

Wreszcie występuje przed sędziego prosta, zwyczajna dziewczyna, wątła, cicha, spokojna, jak dziecię.

„Nędzna dziewko — rzekł sędzia z pogardą —
Tyż to będziesz jeszcze się buntować!
Rozkazałem, ażeby tu wszyscy
Bez różnicy płci, wieku i stanu,
Wszyscy zgoła królewscy poddani
W oznaczonej stanęli godzinie —
I stanęli wszyscy — patrz — prócz ciebie.
Winnaś kary, i kary surowej,
Bo rząd nasz, prawdziwie sprawiedliwy,
W buntownictwie płci nie uznaje.“
. . . .

Sędzia wiedząc, że dziewczyna jest „śpiewaczką z powołania“, każe jej zanucić pieśń na cześć władcy. Posłuszna dziewczyna nuci piosenkę rzewną, ale nie na cześć władcy-tyrana, lecz na cześć Boga:

O, Boże mój, dziękuję Ci!
Wiosna po ziemi wionęła już,
I tyle bzów, konwalij, róż,
I łąki takie majowe są,
I każda gałąź każdego drzewa,
Niby krwią ciepłą, sokiem nabrzmiewa,
I liść się każdy zieleni w cień.

O, Boże mój, dziękuję Ci!
Że prawa Twoje wiecznie świętemi,
Że dajesz wiosnę stęsknionej ziemi,
Że co umarło, to zmartwychwstaje,
Że co istniało, to musi żyć,
Że odrodzeniem jest chwila skonu,
Że prawdą wielkość Twego zakonu,
I że życiem Twój lud!

Po tej pieśni wzburzony gniewem sędzia każe powtórnie dziewczynie śpiewać nie hymn dla Boga, ale pieśń pochwalną na cześć wszechwładnego pana. Wówczas dziewczyna roztrzaskała swą gęśl i z dumą odrzekła sędziemu:

„Chrześciańska córka świętej ziemi
Nie znam Pana żadnego, krom Boga,
A to moja pochwała dla wroga!“

W tejże chwili staje się coś nakształt cudu. Oto zwyczajna gęślarka przemienia się po tych wzniosłych słowach w czarowną dziewicę, promieniejącą jakimś cudownym, świętym blaskiem, w obliczu jej widać dziecięcą słodycz, a zarazem siłę bohatera.

Błyskawice swych oczu zwróciła na wroga i skrzyżowała ręce na piersiach. Sędzia, do głębi wzruszony, utkwił swój bazyliszkowy wzrok w jej przeczystem, anielskiem spojrzeniu — i tak łamały się w tych duszach dwa przeciwne, dwa wrogie sobie światy. A był to bój straszny, choć cichy i niemy, choć bez grzmotów, oklasków i wieńców pochwały, — bo w tem jednem spojrzeniu dziewicy-anioła skupiło się całe życie serdeczne narodu, cała zemsta i nienawiść niewoli, tajona w głębi jego duszy, wszystkie bole i cierpienia, jego cała długoletnia niecierpliwość i oczekiwanie wolności, słowem, wszystkie tajemnice niewolnika. Wkońcu sędzia wybuchnął całą falą gróźb, lecz anielska, nieustraszona dziewczyna odpowie:

„Mylisz się i grozisz daremnie,
Siły mojej — nadziemska przyczyna,
Siła to nie moja — lecz we mnie.“

Na zapytanie sędziego. kto ona jest, odpowiada:

„Jestem wiejska dziewczyna, śpiewaczka,
A córka tej świętej krainy.
Idę z nieba i idę do nieba
Przez tę moją ziemską ojczyznę;
Idę z nieba — bo dwie mam ojczyzny:
Jedną ziemską, a drugą niebieską.
A niema z nich jednej bez drugiej:
Niema dla mnie niebieskiej bez ziemskiej,
Niema dla mnie ziemskiej bez niebieskiej.
Jestem z świata tego, co nadchodzi,
Z tego świata, co w grobie się rodzi
W płaczu, w bolu i w szczęku łańcucha;
A na to się rodzi pod ziemią,
By niebo na ziemię sprowadzić,
A na to się rodzi w łańcuchach,
By wszystkie łańcuchy pokruszyć.“

Sędzia atoli nie zrozumiał tych natchnionych słów dziewczyny, lecz jeden z członków Rady trybunału uznał w niej posłanniczkę myśli Bożej i wybawicielkę narodu, którego duch objawił się w jej czystej, nieskazitelnej jak kryształ duszy. Jak ona czystem i anielskiem swem spojrzeniem pokonała i upokorzyła wroga, tak naród, gdy wybieleje w swej duszy i stanie się jasnym przez światło myśli Bożej, pokona i upokorzy swych ciemięzców. Kto ona? „Jestem wiejska dziewczyna. śpiewaczka“, jak sama powiada. I oto myśl przewodnia utworu rozwiązana. Odrodzenie narodu, jego

zmartwychwstanie wypłynie przez lud, bo — jak ów członek Rady mówi — „lud niebo ma w łonie i wstać musi w zwycięskiej postaci, chyba niebo w swej duszy zatraci“. — Jakie niebo? zapyta ktoś. Oto myśl Boża, tę gorącą wiarę w Chrystusa, w jego ewangelię, która jest ostoją życia ludu. Tu myśl chrześciańska ma swoje ognisko, tu żyje ona jeszcze nie splamiona temi wadami, jakie ciężą na Czarnym i dwu braciach jego, którzy poczynali swe dzieło z Bogiem, a kończyli mimo Boga; myśl Boża musi objąć „serc miliony i połączyć je swym promieniem w jedność nierozerwalną, musi objąć cały naród, bo, według wiary poety, ta sama wiedzie droga do Polski, co i do Boga. Znowu ta sama idea przewodnia przekonań poety, którą już dawniej wykazaliśmy, przewija się w całej tej powieści.

Jest ona napisana wierszem białym, a tylko w niektórych miejscach, dla spotęgowania podniosłości nastroju, rymowana; w niej, jak we wszystkich dotychczas przytoczonych i rozbieranych utworach Balińskiego, odzywa się ten sam głęboki ton patryotyczny, który jest nieodłącznym od każdej choćby najdrobniejszej myśli naszego poety. Język jest tu piękny, a treść, przez chakter swych idei, szlachetna, podniosła, co nadaje utworowi podwójną wartość i stawia go w pierwszym rzędzie utworów Balińskiego.

Oprócz tych trzech większych poematów mamy tu szereg drobniejszych wierszy, jak: „Żeglarz“, „Szczęście“, „Uśmiech“, „Świeć się chwilo“, „Polonez“, „Karolowi“ (wiersz, napisany dla Balińskiego przez Szajnochę), „Odpowiedź K. Szajnosze“, „Dalej! Dalej!“, „Braciom Sierotom“, Krakowiak“, „Kolęda“ (na Boże Narodzenie), „Zagadka“, „Wiem, że śpiew“ i „Poco iskrzysz gwiazdeczko?“. Wiersze: „Zagadka“ i piosnka „Poco iskrzysz gwiazdeczko“ były drukowane w „Dzienniku Literackim“ z r. 1852, a także w „Bibliotece Warszawskiej“ z r. 1857 wraz z innymi wierszami z „Żeglarzem“ i „Wiem, że śpiew“. „Żeglarz“ był przedtem drukowany w „Pokłosiu“, piśmie zbiorowem, wydanem przez Wilkońska w Lesznie w r. 1853. Wiersz „Szczęście“ drukował „Dziennik Literacki“ z r. 1857 pod zmienionym ogólniejszym tytułem: „Piosnka“. Widzimy zatem, że zbiór p. t. „Myśli serdeczne“ mieści utwory, dotąd nigdzie nie drukowane i takie, które były przed wydaniem zbiorowem rozrzucone po niektórych czasopismach. Wiersze te cechuje przedewszystkiem szczere głębokie uczucie, które jest dominującą zaletą wszystkich utworów Balińskiego, a które z piersi poety wypływa jakby rwący, niczem nieskrępowany strumień z żywego źródła.

W r. 1856 wydaje poeta w Londynie, w drukarni powszechnej poemat p. t. „Śpiewakowi Mohorta bratnie słowo". Baliński, dzieląc powszechnie przekonanie, że Mohort jest typowym przedstawicielem dawnego rycerskiego ducha, a głównie uznając zasługi Pola, że tę sympatyczną postać przedstawił jako rycerza szczerze chrześciańskiego, pod wpływem tej właśnie wdzięczności nie mógł uchylić się od wyrażenia podzięki autorowi „Mohorta". Nawskróś bowiem religijną duszę Balińskiego przenikało do głębi wszystko, co tchnęło duchem chrześciańskim; to też „Mohort" obudził w nim niekłamany zachwyt. Pod wpływem właśnie tego uczucia wdzięczności, że Pol opromienił swego rycerza aureolą prawdziwej wiary chrześciańskiej odzywa się tak Baliński w swoim poemacie:

O! Bóg ci zapłać za poczciwe słowo,
Co w starej wierze uczy nas na nowo;
O! Bóg ci zapłać za głos, który woła
Rozswawoloną dziatwę do kościoła!
Bo odkąd kościół opuściła wiara,
Już to nie naród, bracie, ale mara,
Co z lada wiatrem w krąg po całym świecie,
Jak zeschłe liście, tuła się i miecie.
Lecz próżno goni za obcym żywiołem,
Musi kościołem być, albo — popiołem!
Urzędem Bożym przed ludów obliczem,
Wodzem narodów ku niebu, lub — niczem!...

Poeta ubolewa dalej nad upadkiem ducha rycerskiego w narodzie i zarazem chrześciańskiego, bo pojmuje tylko rycerza-chrześcianina, uzbrojonego pancerzem prawdziwie Chrystusowej wiary, pojmuje tylko takiego, jak Jan III., który pod hasłem obrony chrześciaństwa staczał zwycięskie boje z Turkami. Widząc w „Mohorcie przedstawiciela ducha narodowego męstwa, żywy pomnik narodowej przeszłości i szczerej religijnej tradycyi, z uznaniem najwyższem zwraca się do jego twórcy w dalszym toku tego poematu

To nam poeta, co siłą dotknięcia
Ducha narodu obudza z zaklęcia!
To nam poeta, to nam duch proroczy,
Co przeszłość pojmie i tak ją roztoczy
Widocznie, jasno przed twemi oczyma,
Że pojmiesz duszą, że innej już niema
Drogi przed nami, jeno ta odwieczna,
Ta staropolska, prosta a serdeczna.

Którą miecz polski na wieki wyorał.
Którą mieczowi wytykał pastorał,
I którą ciągle duch narodu kreśli
Zawsze za Krzyżem, zawsze z Bożej myśli.

Dalej wyraża poeta głęboką wiarę, że duch Mohortowy zmartwychwstanie, gdy oczyścimy serca nasze, te najpierwsze zbroje, bo szabla nasza kruszy się nie mieczem naszych wrogów, lecz rdzą, która nam niszczy duszę. W tym utworze snuje się tasama myśl, to jest wskrzeszenie męstwa, ducha narodowego, a wreszcie niepodległości narodowej, ale jedynie pod znakiem Krzyża, pod znakiem Chrystusa. Poemat ten wyszedł w dwu wydaniach; pierwsze z roku 1856, a drugie 1863, oba z drukarni powszechnej w Londynie.

W roku 1858 wydał Baliński w Poznaniu przekład dramatu Calderona p. t. „Kochankowie nieba“ („Les des amantes del cielo“). Był to naówczas trzeci z rzędu przekład obok dwu znanych: „Lekarza swego honoru, tłumaczonego przez J. M. Kamińskiego, i „Księcia Niezłomnego“, przekładu Juliusza Słowackiego. Zanim przystąpimy do rozbioru tego znakomitego przekładu. musimy poznać intencye i pobudki, które skłoniły Balińskiego do tłumaczenia dzieł Calderona. Pierwsza inicyatywa do tego wyszła zę strony przyjaciela jego Ludwika Nabielaka, który bawiac przez dłuższy czas w Hiszpanii, jako kierownik fabryki, miał możność dokładnego nauczenia się języka hiszpańskiego. Za pośrednictwem więc Nabielaka, który posiadał dzieła najznakomitszych hiszpańskich poetów, poznał i Baliński poezyę hiszpańską, tembardziej, że znajomość języka hiszpańskiego wyniósł już z domu, bo go uczyła babka, pani O'Ryan. Nabielak sam zamierzał tłumaczyć Calderona i nakłaniał do tego Balińskiego, którego i częściowe pochodzenie hiszpańskie i sama natura dramatów hiszpańskich pociągały w tym kierunku. Charakter bowiem poezyi hiszpańskiej tak średniowiecznej epiki, której wyrazem są Romance, jakoteż późniejszej dramatycznej, której najświetniejszy czas rozwoju przypada na okres panowania trzech Filipów, a która najwyższy, dotąd niedościgniony szczyt rozwoju osiągnęła w XVII. wieku za genialnych swych przedstawicieli Lope de Vega i Calderona, jest nawskróś religijna. Zjawisko to zupełnie wytłumaczone, gdy się weźmie pod uwagę warunki polityczne, w których żył naród hiszpański. Począwszy od połowy XI. w., od czasu osiedlenia się Maurów w Hiszpanii, rozpoczęły się długie walki dwu wrogich światów,

chrześciańskiego z mahometańskim. W tej epoce ciągłych walk rozwinął się w narodzie hiszpańskim niesłychany duch rycerski, owiany zapałem religijnym, gdyż były to walki Krzyża z półksiężycem; naród hiszpański natchniony znakiem Chrystusa, z płomienną pochodnią wiary w zwycięstwo pod tym znakiem idąc w zacięte boje, odnosił świetne nad Maurami zwycięstwa. Pojęcie i miłość Ojczyzny zlały się odtąd w jeden harmonijny ton, w jeden zgodny nierozerwalny akord z pojęciem i miłością wiary Chrystusowej, z miłością Krzyża, na którego gruzach usiłowali Maurowie zasadzić półksiężyce. Z czasem, gdy Hiszpanie uwolnili się od jarzma Maurów i zdobyli samodzielność narodową, duch ten rycerski, wykształcony w przeszłości a żyjący tradycyą w piersiach narodu, czuł się jakoby uwięziony, jakoby spętany, i szukał ujścia na zewnątrz. Ta niesłychana rzutkość, rwąca się do nadzwyczajnych przygód i awanturniczych przedsięwzięć, ta wrodzona skłonność do fantastycznych i cudownych wydarzeń, ta wreszcie gorąca miłość bohaterskich czynów, przekazana potomności, skrępowane teraz w piersiach narodu spokojną sytuacyą polityczną, musiały znaleźć rozwiązanie. I oto znalazły — nie w rzeczywistości, lecz w krainie fantazyi, w dramacie, który wypłynął z potrzeby ducha narodu, a który nosi cechy wybitnej oryginalności i indywidualności, wyrosłej i wysubtelnionej na gruncie szlachetnej godności i dumy narodowej, jaka była następstwem tych dwóch świetnych zwycięstw chrześciańskich nad Maurami mahometańskimi.

Poezya dramatymatyczna hiszpańska dzieli się na dwie kategorye: świecką i religijną. Dzieła dramatyczne religijne tchną całą poezyą prawdziwej wiary, tą wonią chrześciańskiego ducha, przemawiają do nas całą potęgą natchnienia, wypływającego ze źródła szczerej i głębokiej religijności. Takim duchem tchnie dzieło Calderona „Kochankowie Nieba". Baliński zabrał się do tłumaczenia z całem umiłowaniem autora i jego dzieła, którego duch tak zgodnie przemawia do kontemplacyjnej przejętej głęboką religijnością duszy poety. I właśnie ten charakter religijny dzieła w pierwszym rzędzie zachęcał naszego poetę do przekładu. Chciał on bowiem przysporzyć literaturze ojczystej dzieł genialnego talentu, tchnących duchem prawdziwej idei Chrystusowej, której sam był we wszystkich swych pismach gorliwym i nieustannym rzecznikiem. W tym dramacie, względnie tragedyi, oddzielonej wiekami od epoki współczesnej, widzi Baliński dramat czasów dzisiejszych, sobie współczesnych, rozgrywający się nie na scenie teatralnej, ale na widowni świata, w życiu, na ziemi.

Przysłuchajmy się, co sam poeta w przedmowie o tem dziele mówi: „Ktokolwiek całą duszą wpatrzy się w ten obraz Calderoński, spostrzeże i poczuje, że sam jest nietylko widzem, ale i aktorem zarazem w tym wielkim żyjącym dramacie, a własne sumienie powie mu wyraźnie, jaką on w nim rolę odgrywa. Wszystkie tu, przez Calderona wywołane osoby żyją obecnie, żyją i działają jak niegdyś, słowo w słowo, powtarzają się nawet też same wyrażenia, zmiana jest tylko w nazwiskach. Łatwo sprawdzić to smutne spostrzeżenie, łatwo dojrzeć, niestety, i Polemiuszów, onych przeciwników wszelkiego chrześciańskiego postępu, potępiających Prawdę dlatego jedynie, że się ich niskim, osobistym widokom sprzeciwia, że ich do wyższego życia, do wyższej ofiary powołuje — i Eskarpinów, owych materyalistów, u których ponad ziemią, poza grobem nic niema, bez których nie byłoby Polemiuszów i t. d....“

Dr. Jan Mirwiński.

(Dokończenie nastąpi.)

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.